

KS. FERDYNAND MACHAY

NASI GAZDOWIE W PARYŻU

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY

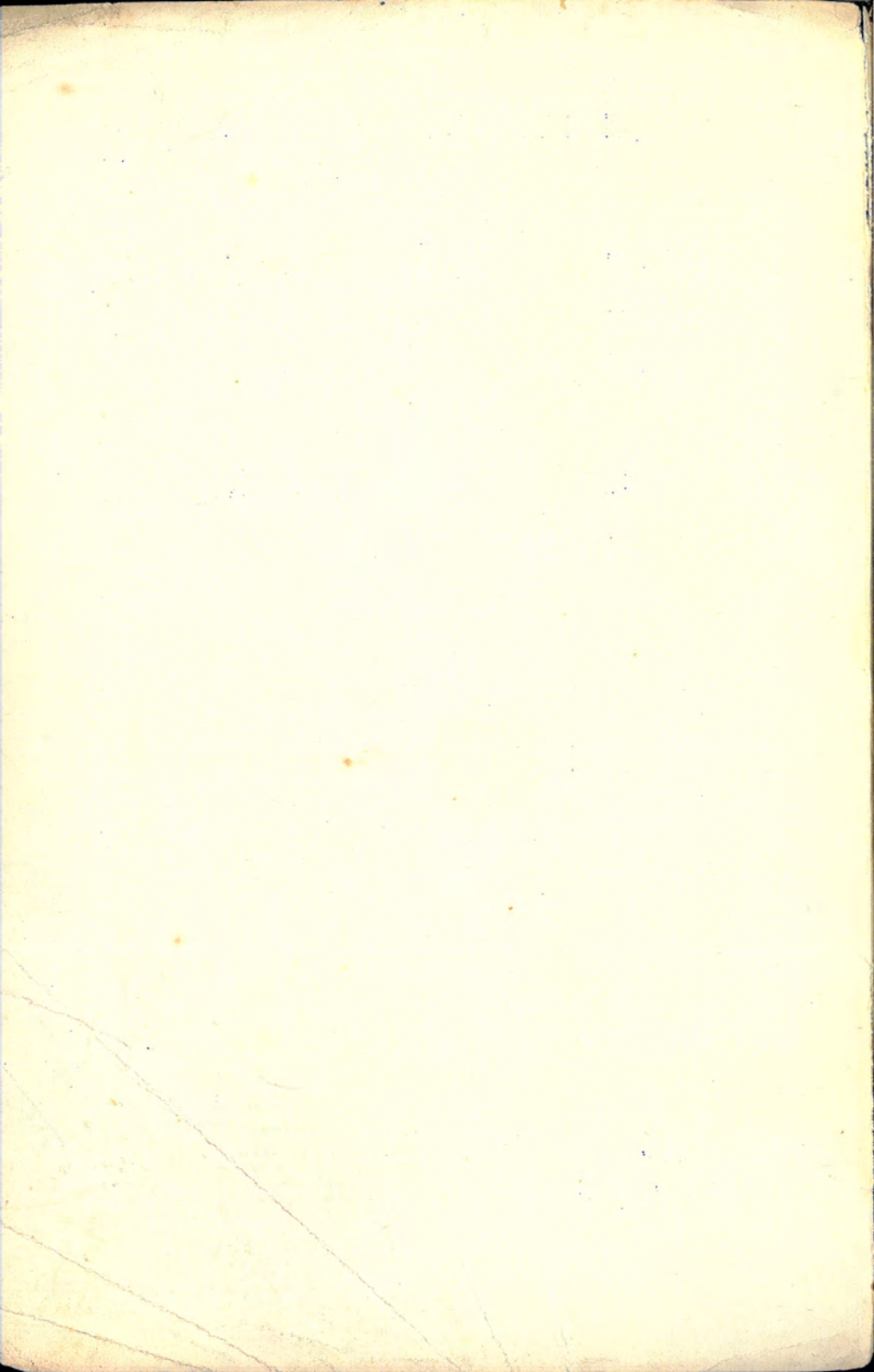


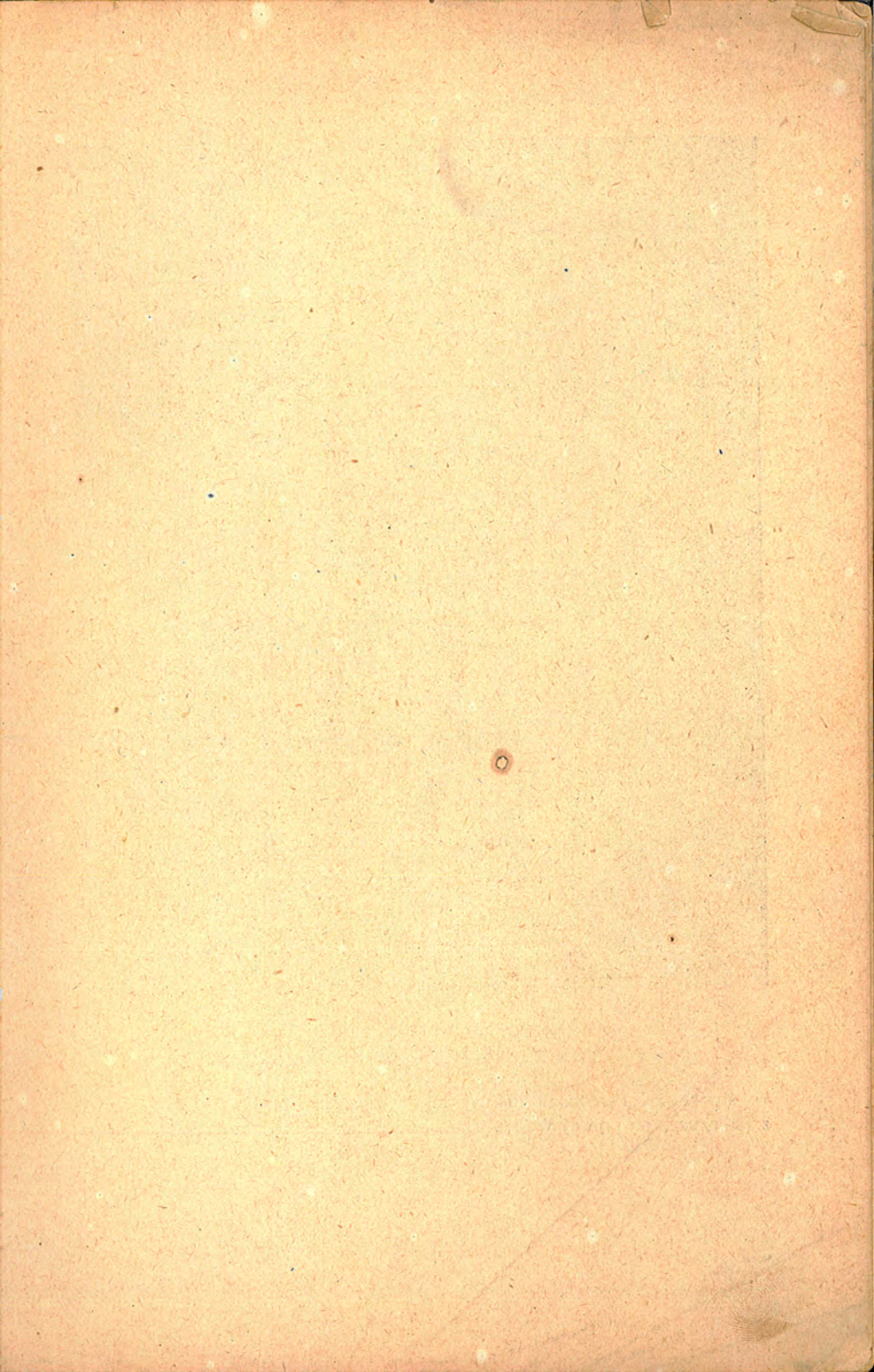
KRAKÓW 1919 R. NAWIĄZANE PRZEZ
RZĄDEM POLSKIEGO KOMI-
TETU PLEBISYTOWEGO DLA ŚPISZA I ORAWY

PODHAŁAŃSKI ODDZIAŁ

Dom Wycieczkowy

Im. Ks. STOLARCZYKA







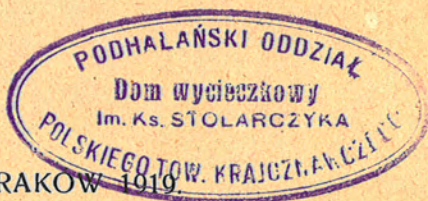
NASI GAZDOWIE W PARYŻU.

W środku ks. Ferdynand Machay między gazdami: po lewej Piotr Borowy z Rabczycy, po prawej Wojtek Halczyn z Lendaku. Na lewo prof. Kazimierz Rouppert. Dwaj Hallerczycy.

KS. FERDYNAND MACHAY

NASI GAZDOWIE W PARYŻU

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY.



NAKŁADEM POLSKIEGO KOMITETU PLEBISCYTOWEGO
DLA SPISZA I ORAWY.

Przedruk uzupełniony z „Gazety Podhalańskiej“.

Przed wyjazdem.

Czyja to była myśl, wysłać delegację górali spisko-orawskich do Paryża? Mówiono o tem już w styczniu, wnet po nieszczęśliwym wycofaniu wojsk polskich z naszych ziem (Pp. Zachemski, Orkan, Czech). Na właściwe tory pchnął tę myśl Związek Górali w Zakopanem, kiedy to na jednym z wieców uchwalono rezolucję, żądającą od Rządu wysłania takiej delegacji do Paryża. Sprawę tę w Warszawie przypilnował wicemarszałek Sejmu Osiecki. — Pamiętamy wszyscy jaknajlepiej pobyt angielskiego pułkownika Wade na Podhalu. Wiemy o tem, że on między nas właśnie w sprawie spisko-orawskiej przybył. Wywiedział się od gospodarzy ze Spisza i Orawy wszystkiego, co chciał wiedzieć, 5-go marca — w sam Popielec — byli u niego w Zakopanem ci gospodarze, i wtedy on poradził, aby ks. Machay z 2-ma gazdami ze Spisza i Orawy wyjechał do Warszawy do misji alianckiej ambasadora Noulensa. I zrobiliśmy tak, 10-go marca siedzieliśmy już w wagonie. Pan Noulens bawił wtenczas w Poznaniu, a ponieważ nie było na pewno wiadome, kiedy stamtąd wróci, p. Paderewski posłał nas 14-go do Poznania, zawiadamiając i o tem, że po powrocie z Poznania, natychmiast pojedziemy do Paryża. Gazdowie się trochę martwili, że nie można było wszystkiego w Warszawie załatwić i do domu do pracy wracać. Były to jednak drobnostki, bo każdy z nich nieraz oświadczył: „Co by to

i miesiące trwało, aby tylko swoje zrobić". Wieźliśmy się — do Poznania — paradnie. Ministerjum spraw zagranicznych wysłało z nami specjalnego urzędnika, który się wyłącznie nami opiekował. Jechaliśmy naturalnie — jako tacy niby delegaci — w I-ej klasie. Ale nie zadarmo! (Mówię to dlatego, bo w I-ej klasie zwyczajnie zadarmo jeżdżą). Rozumiem się, że po dwóch w oddziale, aby można było przez noc spać. Tak też i było. Gazdowie ta jednak nie bardzo spali. Zeszli się w jednym oddziale i radzili, jako to jutro u tych Francuzów będzie. Kiedy się zaś rozwidniło, oglądali grunty. I ażem im zazdrościł, jak się potrafili cieszyć, radować, widząc porządną gospodarkę na ziemiach polskich — z pod Prusa.

W Poznaniu.

Poznań... krzyczy kolejarz. Wiecie, ruszyło się nam na to nazwisko serce. Bo nam ta niewiele o Polsce na Węgrzech mówili, ale o prześladowaniach z ręki Prusaka my ta słyszeli. I brała nas niemała ciekawość! Poznań! „Biedacy moi“ — mówi Piotr Borowy. Wyłazimy z wagonu i oglądamy się po dworcu. — „Pon kapłon — mówi do mnie Ignacy S. — lo Boga, dyć tu syćkie napisy po niemiecku“.*) Oglądam się i rzeczywiście tak: Posen — Ausgang i t. d. Przykre to robiło wrażenie a rozjątrzało gniew przeciw Prusakom, że to polskie miasto tak sponiewierali! Bo polskie! Jak se nasi wojockowie po nim spacerują! Wszędzie głośno od polskich słów. Ale dyć o tem każdy wie! Ciekawiśmy byli, czy i kiedy nas misja Noulensa przyjmie. W krótkim czasie nam zwiastowano, że o pół do 1-ej. Przed nami Niemcy z Berlina radzili. Dobrze tym bratom oczy nie wyłazły, tak nas oglądali. Wojtek zaś

*) Dzisiaj już wszystko po polsku.

umiejąc po niemiecku, nie pozostał dłużen. Delikatnie szeptnął jednemu z nich: „Deutschland unter alles“. I poszli. My zaś ku zielonemu stołu. Ale wiecie, nie był to taki ta choćjaki stół. Bo cała ta misja siedziała w zamku excesarza Wilusia. Moiściewy! Co za paradne, marmurowe sale! I nas do tej samej zaprowadzili, gdzie Wiluś wyroki śmierci na braci z Poznania podpisywał. My po jednej stronie, Francuzi, Anglicy, Amerykanie i Włosi — same wielkie dyplomaty a generałowie — po drugiej. I pierwszy między nimi nam powiada: „Teraz nam zechciejcie powiedzieć, co chcecie, jaki cel waszej podróży“. Wtedy to prof. Dr. Rouppert po francusku wszystko opowiedział. Musieliśmy na mapie wyrysować granice, których chcemy. Wysłuchali nas obszernie i kazali pójść do Paryża, dokąd natychmiast telegram wysłali, że przyjedzie delegacya Spisza i Orawy. Nam to — rozumie się — nie wystarczało. Jeden z gazdów zaczął prosić amerykańskiego generała Kennena, aby Czechom rozkazał, aby się z naszej ziemi wynieśli. — „Wyniosą się oni, stary, ale wy musicie przedtem do Paryża pójść, bo my nie mamy prawa i pełnomocnictwa takich telegramów wysyłać“. Byliśmy z tych panów bardzo zadowoleni. Jeden Włoch, kapitan Wentura, nawet nieźle po polsku mówił. Byliśmy w dobrym nastroju. Wogóle w Poznaniu naszych gazdów bardzo uszanowano. Rada Naczelna dała nam na całe popołudnie dwa samochody. I z jednym p. porucznikiem objeździliśmy całe miasto. Byliśmy przy grobach królów Bolesława Chrobrego i Miecysława I-go w złotej kaplicy, na cudownym polskim ratuszu, w zwierzyńcu, a co już nas bardzo zaciekało — w parku lotniczym. Ile tam tych aeroplanów! Dość nam dziwno było, że Niemcy to tak niechali. — „Tam ta niechali“ — powiada nam ten porucznik. — „Z miasta my ich wypędzili i obsadzili się tutaj. Bronili się, ale nie długo“. — Wieczery w Poznaniu też nie zapomnimy. Jedliśmy ją w takiej restauracyi, która jeszcze niedawno była gniazdem polako-

żerców. Dziś ją Polak kupił. I siedzieliśmy przy tym samym stole, przy którym najgorszy hakatysta Tiedemann ze swoim sztabem polskie łyzy dobrem piwem oblewał. Najbardziej zaś pamiętną dla nas ta chwila, kiedyśmy na rozkaz p. Korfantego na tronie Wilhelma usiedli. Człowiek tyle o takich tronach słyszał, ale widocznie nic w tem dziwnego, bo żaden z nas ani nie zmądrzał, ani się nie wzbogacił. No, w tym Poznaniu bardzo nam się podobało.

* * *

Wróciliśmy do Warszawy 16-go i tego samego dnia — była to niedziela — odjechaliśmy do Paryża, ale jeno dwóch gazdów: jeden ze Spisza, jeden z Orawy, Dr. Rouppert i ja. Jako się do tego Paryża jedzie? Otóż bardzo trudno się tam dostać. Bo jadą do tygodnia tylko dwa wagony, po 18 miejsc, t. j. 36 osób w tygodniu może z Polski do Francji wyjechać. Na tych 36 jest zawsze 15—20 Francuzów albo innych aliantów. Dla nas więc nie tak dużo tych miejsc. Wagony są sypialne, bardzo wygodne. Bilet jazdy do Paryża dla jednej osoby kosztuje 510 franków, za jednego zaś franka płaci się dziś 8 koron. Więc wcale to nietani interes. O bilety trzeba tygodniami starania robić. Ponieważ myśmy się zupełnie niespodzianie zdecydowali na tę podróż, chcąc prędko wyjechać, musieliśmy się zgodzić na niebardzo wygodną jazdę, bo — na korytarzu. I pojechaliśmy z wielkimi nadziejami w Bogu i w naszą sprawę o 2-ej popołudniu. Na drugi dzień rano przyjechaliśmy do Cieszyńskiego. Ostatnia polska stacya: Piotrowice. Przychodzi państwowy kontrolor i ogląda bardzo sumiennie papiery — dokumenty podróży. Wszystko w porządku. Jazda dalej! Bogumin — pierwsza stacya — czeska. Dziwna ciekawość nas wzięła, jak się też bracia Czesi popiszą? Czy nam — delegacyi Spisza i Orawy będą chcieli przeszkadzać, czy nie? Niedługo wchodzą do wagonu dwaj



NACZELNIK PAŃSTWA JÓZEF PIŁSUDSKI.

panowie — cywilni — prosząc o papiery. I wiecie, muszę tym razem Czechów pochwalić! Oglądneli, czy podpisane przez Francuzów, czy dobry paszport i znajdując to w porządku, przybili bez wszelkich dalszych zapytań: „Ceskoslovenské pohraniční policejní Komisařství v Bohuminé. Příjel 17/III. 1919“. Czytając na naszych papierach „Delegacya ze Spisza i Orawy“— jeden na drugiego trochę znacząco spoglądnął i na tem się skończyło. Przez ziemie czeskie nikt nas więcej nie bałamucił. Jazda przez Cieszyńskie była ciekawa, bo z nami był Ks. poseł Londzin, który nam o każdym kawałeczku tej polskiej ziemi najdokładniejszych informacji udzielił.

Pierwszy raz zobaczyłem wtedy żołnierzy nowego państwa czeskiego. Tylko czapkę zmienili trochę, reszta po austriacku. Podróż przez Czechy nie trwała długo. W Hohenau nas już niemieckie straże przywitały. Wlazło do wagonu czterech Niemców i przeprowadzili u nas niesłychanie ostrą rewizję. Obmacali, obszukali wszystko. Rzadko się widzi podobne grubiańskie traktowanie. Szukali pieniędzy we większej liczbie i papierów wartościowych. Nie znaleźli jednak nic.

* * *

Wiedeń. — Tutajemy stanęli i całe trzy godziny czekali na przyjazd pociągu francuskiego z Bukaresztu, do którego nasz wagon doczepiono. Skorzystaliśmy z wolnej chwili i zaglądneliśmy do miasta. Nasz Kraków albo Warszawa to raj wobec Wiednia. Niesłychany brak żywności. Wchodzimy do restauracyi, aby coś zjeść. Dostaliśmy herbaty i jakiegoś dziwnego naleśnika (Spezial-Palatschinken). Z czego ta mąka była, nie chcieli nam zdradzić. Był to smak drzewa. Pociąg z Bukaresztu nadszedł. Komendant pociągu oświadczył, że na korytarzach nie wolno nikomu stać. Kto niema miejsca, ten musi we Wiedniu zostać. Myśmy więc bez miejsca pozostali i gdyby nie energiczne poparcie hr. Mau-

rycego Zamojskiego, bylibyśmy nie wyjechali. W Innsbrucku spotkałem się na stacji z moim komendantem bataljonu z r. 1917 i mało brakowało, żem się z Niemcem nie ucałował. Bo był zawsze porządny chłop. Odtąd zaczęła się okupacja włoska. Na dworcach ich wojska trzymały straż, aż do samej granicy Szwajcarii. Nigdy w tej republice nie był, ani gazdowie, dużo się zaś o niej słyży, byliśmy więc ciekawi.

Buchs — pierwsza stacja. Dworzec przepelniony „obcymi“. Czekali na nasz pociąg, spodziewając się listów z kraju, Rumunji, Serbji, Austrii, Węgier. Różni „wynańcy“, którzy się do domu wrócić albo boją, albo nie mogą. Politowania godny zastęp! Wiele między nimi i paskarzy, a sądząc po twarzy ogromna liczba wyznania moźeszowego. Zwłaszcza z Rosji. To samo zjawisko w Zurychu, w Bazylei. Kraj to przepiękny! Góry — jeziora! A ziemia dobra. Na oko widać dobrobyt i zadowolenie między ludem. My zaś wojną wygłodzeni i spragnieni — tośmy się rzucali na bufety po dworcach, to o papierosy, to o czekoladę albo inne figielki.

Delle... to już we Francji. Rewizja, ale bardzo grzeczna. Nie szukali po walizkach, bo widocznie wiedzieli, że my z tych ogołoconych krajów niedużo możemy do Francji przewieźć. 19-go marca raniutko już nikt nie drzemał. No bo gdzieś ta bes społ, przyblizając się do Paryża. Ale my sobie tak gwarzyli jeden do drugiego: nie taka ta wielka różnica na polu, kto wie, czy ten Paryż się od naszych miast bardzo różni?

W Paryżu.

Była 8-ma rano, kiedyśmy dojechali na dworzec wschodni. Aby się nie zgubić w morzu ludzi, trzymaliśmy się ostro innych Polaków. Ażeśmy zobaczyli przy wyjściu Hal-

larczyka. Jak myśmy się pocieszyli! Bo człowiek już ani nie wierzył, że są ci żołnierze w tej Francji, tyle razy nas od listopada z ich przyjazdem oszukali! Wnet zobaczyliśmy i innych. Wszyscy z biura komunikacji Komitetu Narodowego. Przychodzą do każdego pociągu, aby nowo przybyłym rodakom pomocy i informacji udzielić. Wsadzili nas do jednego samochodu i jazda. Wieźliśmy się dobrych 10 minut. Aż nas wyładowali. Patrzą: ulica Balzaca Nr. 5, Hotel Pól Elizejskich. Prowadzą nas do wnętrza. „Co to, dy się tu roi od Polaków?” — pado Wojtek. To wiecie główna siedziba Komitetu Narodowego w Paryżu.

Panowie się schodzili do pracy, kiedyśmy się zjawili. Pierwsi nasi znajomi to byli profesorowie Romer i Sobieski. Przychodzili jeden za drugim: Dr. Dłuski, który się z nami nadzwyczaj serdecznie przywitał; nasz najgorętszy zastępca w Paryżu prof. Nitsch, prof. Bujak, książe Lubomirski i t. d. Gazdów chcieli doszczętnie rozerwać pytaniami. Miłe to wspomnienia dla nas. Przyjęto i ogarnięto nas z niesłychaną miłością. Wszyscy panowie nam zaraz ofiarowali swoją pomoc. Mieszkanie naprzykład, to nam wyszukał p. Włodzimierz Tetmajer. A nie było to łatwe zadanie. Bo Paryż przepelniomy gośćmi. Hoteli po ulicach zdawałoby się — za dużo, trzeba się było jednakowoż i tam po tej krzyżowej drodze (szukania mieszkania) przejść. Nie chcieliśmy zbyt daleko być od biur polskich, musieliśmy tedy w dosyć drogim hotelu zamieszkać, bo 10 franków od osoby. Urządziliśmy się prędko i do pracy! Do jakiej? Bo Wojtek to zawsze miał wyrzuty sumienia i nieraz mi oświadczył: „Ej wiedzą co, dy nos Bóg skorze, że nic nie robimy, ino chodzemy od pana do pana“. A my właśnie po to do Paryża przybyli, aby ku tym różnym panom pójść. I drodzy czytelnicy wybaczycie, kiedy naprzód o tych naszych spacerach opowiem, a dopiero potem o Paryżu, jako się nam w tem trzy-milionowym mieście powodziło.

U polskich dyplomatów.

Musieliśmy w pierwszym rządzie naszą — polską — dyplomacyę o naszych żądaniach i ostatnich wypadkach na Spiszu i Orawie zawiadomić. Nie było to tak trudno, bośmy znaleźli grunt przygotowany, ba powiedziałbym obrobiony, chociaż nie zupełnie. Aby pracę podzielić i ułatwić, Komitet Narodowy stworzył różne sekcje. Tak istniała i istnieje sekcja śląsko-spisko-orawska. Przewodniczącym tej sekcji jest prof. Szura z Cieszyna, należeli zaś do niej Dr. Dłuski, p. Warchałowski, prof. Buzek, prof. Nitsch, prof. Sujkowski. W czasie pobytu w Paryżu należałem i ja.

Zaraz w pierwszy dzień a więc 19-go było posiedzenie z naszym udziałem. Sprawa Cieszyna stała wtenczas niedobrze, jako to z nowin dobrze wiecie. I prawie myśmy na te najważniejsze narady przybyli z ks. Londzinem. Jak oni — ci Ślązacy — pracowali, latali po Paryżu! Spodobało się nam to i powiedzieliśmy sobie: tak musimy i my robić. Z przemówień p. Szury i Dr. Dłuskiego dowiedzieliśmy się, że o nas w Paryżu zawsze pamiętano. Na dowód ukazali nam mapkę przez Komitet wydaną i zeszyt o Spiszu, Orawie i Czacy na kongres przez prof. Nitscha napisany. Miło nam było i widzieć i słyszeć te dowody pamięci o nas i wszyscyśmy w naszych przemówieniach za to podziękowali. Prosiłiśmy jednak — a to uporczywie — aby się sprawą kresów tych — długo zaniedbanych — Komitet lepiej zajął. W obcowaniu z naszymi mieliśmy w Paryżu wielką wadę: byliśmy bardzo wymagającymi. Tak się parę razy i zdarzyło, że nam delikatnie oświadczyli: są od Spisza i Orawy dużo ważniejsze sprawy. My zaś na to niemniej grzecznie odpowiedzieli: wiemy dobrze, że bez Gdańska Polska nie może być, że Śląsk cieżyński jest perłą Polski, powinny się więc wszyst-

kie siły w tym kierunku spojść; wiemy bardzo dobrze, że Polska bez Spisza i Orawy wielką by Polską została, ale my przeciw takiej każdej myśli najenergiczniej protestujemy i zgłaszamy wam z całym naciskiem, że mamy te same prawa życia i bycia w Polsce, które mają bracia od Krakowa — Warszawy — Poznania, bo my na Spiszu i Orawie czysto polski naród. — Tak my wej pedzieli prawdę a jesse my i nogami cupnęli! — A ten p. Dmowski był na posiedzeniu? — pytają się gazdowie. I wtedyśmy się dowiedzieli, że Dmowski tyle mówi z Anglikami, Francuzami i Amerykanami, że mu na przyjmowanie takich delegacyj wcale niedużo czasu zostaje. Jednak nam sekretarz Koziński przyobiecał, że się w najkrótszym czasie z nim zobaczymy.

Przyjął nas w swoim mieszkaniu 24-go marca o 12-iej. Czekaliśmy z utęsknieniem na te chwile. Co też Dmowski powie? I pocieszył nas bardzo. Rozmawiał z gazdami dobrą półgodzinę. „**Przy odzyskaniu Spisza i Orawy nie będzie dużo kłopotu**“. W rozmowie można było dokładnie zauważyć, że zna tę sprawę tak dobrze, jak i inne, i że mu tak na sercu leży, jak Gdańsk, Cieszyn albo Lwów. „Już my mu ta za te pół godzinki wygodali syćke nase bolącki“. Pan Dmowski zaś obłapiał i Wojtka i Piotra, uściskał a powtarzał: nic się nie starajcie, dobrze będzie. Życzyłbym p. Dmowskiemu, aby go cała Polska tak pokochała, jak nasi gazdowie. — „Ten pon, to nom juz pomoze, to juz hej“ — mówili oba i najwięcej się od niego spodziwali.

Kiedyśmy się z p. Dmowskim rozmówili, można było powiedzieć polska dyplomacja już nasza. Jednakowoż to jeszcze nie wystarczało. W rozmowach z różnymi Polakami zauważyliśmy, że wielu z nich nie najlepiej wie, gdzie to właśnie ten Spisz i Orawa. Zwłaszcza żołnierze z armii Hallera, wychowani od dziecka w Ameryce. Poszedłem dla-

tego do redakcji Polaka (pismo wychodzące w Paryżu trzy razy do tygodnia) z artykułami o Spiszu i Orawie, które się w tem piśmie ukazały. Aby zaś braciom w Paryżu do serca trafić, prosiliśmy zarząd Komitetu o urządzenie wiecu spisko-orawskiego. Wiec zorganizował Dr. Dłuski, odbył się 31 - go marca. Słuchaczy nie było bardzo dużo. Nam się to niepodobało. Chcieliśmy bowiem złowić niektóre większe ryby, które się na wiecu nie ukazały. Nasza tajna policja nam bowiem doniosła, że nader ważne osobistości nie wiedzą o Spiszu i Orawie, chcieliśmy więc ich publicznie pokrzepić powietrzem tatrzańskim. 5 kwietnia otrzymujemy zaproszenie na odczyt Wasilewskiego. Gazdowie do mnie: „Pon Kapłon, tam musimy pójść“. „A to dlaczego?“ „Bo tam będą i te większe ryby, bo Ukraina to nie biedny Spisz a Orawa“ — „Prawdę gwarzycie“ — przyświadczyłem gazdom i poszliśmy na tę Ukrainę. — „Kielo tu ludzi“ — powiadał Wojtek. Oglądom się i mówię po cichu do gazdów: „Są i nasze ryby, idę zapisać się do głosu“. Odczyt się rozpoczął. P. Wasilewski mówił dobrą godzinę, a potem przewodniczący udzielił mi głosu. Uśmiechnąłem się do gazdów, oni mi głowami przyświadczyli. Zacząłem tak: „Szanowni państwo! Jestem przez przyrodę obdarzony wielką wadą, niema wiecu, na którym bym nie przemawiał. Państwo więc darujecie, jeżeli i dzisiaj przemówię. Prawie dziś tydzień był tu w tej samej sali rodzaj wiecu o Spiszu i Orawie. Ani trzeciej części dzisiejszej publiczności tu nie było. Widząc dziś przed sobą śmietankę polskości w Paryżu i tylu wielkich uczonych, muszę być ostrożnym. Ponieważ o Ukrainie bardzo mało wiem, państwo wybaczcie, jeżeli przemówię o tem, co doskonale znam, mianowicie o Spiszu i Orawie“. I wiecie mówiłem też ze serca! A gazdowie kieniekie kiwnęli głową a uśmiechnęli się na znak, że są i oni zadowoleni. Tak my widzicie w tym Paryżu Polaków o ziemiach tatrzańskich uświadamiali. Musiał się o nas i ten dowiedzieć, co i nie chciał. Za tydzień od-

był się nowy wiec o Ukrainie: dyskusja nad słowami Wasilewskiego. Specjalnie nas proszono, abyśmy Ukrainy Spiszem i Orawą nie zabijali. Los jakoś tak zrządził, żeśmy nie mogli pojąć.

Wielcy dyplomaci świata.

Musimy się teraz zapoznać z naszymi sprzymierzeńcami. Głównym celem naszej wycieczki paryskiej byli bowiem panowie z Rady Czterech, z Rady 10-ciu a inni wielcy dyplomaci. Pierwsze posłuchanie było u Francuzów. Byliśmy razem z delegacją z Cieszyńskiego. Pp. Laroche (podsekretarz stanu min. spraw zagranicznych) i Legrand (referent dla spraw polskich tamże) dali nam dosyć jasno do poznania, że spór polsko-czeski jest dla nich bardzo trudny do rozwiązania. Byliśmy u tych panów wnet po naszym przybyciu, 23 marca. Nie bardzo nas ten początek pocieszył. Mówił prawie wyłącznie p. Laroche. Uważał na każde słowo, aby ewentualnie czegoś nie przyrzec. „Myśmy — mówił — serdecznymi przyjaciółmi i Polski i Czecho-Słowacji. Pracujemy nad tem, aby zapadł sprawiedliwy wyrok, aby wojnie kres położyć a możliwie każdy naród zadowolnić. Jeżeli w sporze czesko-polskim uwzględnimy różne konieczności gospodarcze, przemysłowe, a nietylko językowe, to obydwóch stron prawdopodobnie nie zadowolnimy“ (myślał tu o Śląsku). Po przemówieniu ks. Londzina jednak obiecał, że się tylko sprawiedliwego wyroku możemy spodziewać. O Spiszu i Orawie — jako drobnośc — nie mówił nic, odkładając to zupełnie do wspólnego załatwienia z Czechami. Wrażenie po tem posłuchaniu było dosyć głupie. Nie wiedzieliśmy, czyśmy coś zyskali, czy nie. Na drugą niedzielę, 30 marca, poszliśmy do bardzo ważnego dyplomaty, do jednego z 10-ciu, do p. Tardieu, francuskiego ministra. Wystuchał z wielkiem zaciekawie-

niem przemówienia Dra Dłuskiego, oglądał mapki. Ten pan wyraźnie zaznaczył, że spór polsko-czeski powinni załatwić Polacy i Czesi między sobą. Rozmówił się króciutko z gazdami po angielsku i pożegnał nas bardzo serdecznie z tą obietką, że będzie nad zbliżeniem polsko-czeskiem pracował. Niejednemu z czytelników — napewno — na myśl przyjdzie, dlaczego ci Francuzi, którzy się w innych sprawach okazują naszymi najgorętszymi przyjaciółmi, w sporze czesko-polskim zajmują takie niewyraźne stanowisko. Rzecz jest bardzo jasna: co polskie to Polsce, a co czeskie, to sobie niech oni biorą. Cieszyn, Spisz i Orawa polskie, dlaczego, jakim prawem sobie więc Czesi na te kraje zęby ostrzą? Jest to bezprawie. Zdołali oni aljantów poza naszymi plecami w swój sposób przekonać. Kiedyśmy u tych rozmaitych dyplomatów o polskości tych ziem mówili i nasze mapki ukazywali, nieraz się słyszało: „Czesi nam zupełnie inne mapy ukazali“. Więc jeszcze wtedy, kiedy praca polska w Paryżu nie była tak bardzo intensywne, Czesi zdołali wymusić obietnice przyłączenia do Czech i Śląska i nienaruszonej granicy Słowaczyny na Węgrzech, do której to i nas 150.000 górali polskich zaliczyli. Widzieliśmy te mapy czeskie z r. 1919-go, na których i Śląsk cieszyński, Spisz i Orawa były czysto czeskie. Bracia Czesi widocznie bardzo liczyli na polską głupotę! Albo ci, którzy te mapy aljantom ofiarowane, wypracowali — byli głupi. Myśmy bowiem w Paryżu przy takiej sposobności ukazali też czeskie mapy, ale z r. 1913-go, kiedy to Czesi o Polakach na Śląsku, na Spiszu i Orawie bardzo, bardzo dobrze wiedzieli. Mieliliśmy oryginał takiej mapy. I takim to sposobem zbijałiśmy czeskie kłamstwa z r. 1919-go czeską prawdą z r. 1913-go. Wcale nam nie były potrzebne nasze, przez polskich uczonych opracowane mapki. Francuzi i inni aljanci o tych czeskich sprawkach dziś już dobrze wiedzą i chcieliby ze swojej obietnicy wybrnąć w bardzo zręczny

sposób: zgódźcie się sami. I prawdopodobnie do tego dojdzie. Polacy zabiorą swoją własność, a Czesi swoich Czechów.

Na te same poglądy trafiliśmy i u Włochów, u margrabiów Salvago Raggi i Della Toretta (z Rady 10-ciu). W każdym ich słowie było czuć przyjaźń dla Polski. O Spiszu i Orawie bardzo są dokładnie poinformowani. Z naszymi przyjaciółmi Włochami mieliśmy dosyć ciekawe zdanie. Przed hotelem „Edward VII“, gdzie włoska delegacja mieszka, zawsze jest dużo żołnierzy włoskich. Uświadamialiśmy naturalnie i żołnierzy. Naraz jeden się odzywa, że on był na Spiszu. Myślałem, że żartuje, mówił jednak prawdę. Opowiadał, że służył we wojsku czeskim i że użyto go prawie na Spiszu do „straży honorowej“ przy stemplowaniu koron. Wojtek mu zaraz nadał do złodzieji, czego on na szczęście nie zrozumiał. Jednakowoż zauważył od świętego gniewu gorejącą twarz Wojtka. Po wytłómaczeniu było dosyć śmiechu.

Zupełnie odrębny charakter miały posłuchania u Anglików i Amerykanów. U Francuzów i Włochów przemawiał o nas Dr. Dłuski, albo prof. Nitsch, przedstawiciele zaś Anglii i Ameryki rozmawiali prawie wyłącznie z gazdami. Te rozmowy były wielkiej wagi. Rozmowa się toczyła w języku angielskim. U tych panów prawa historyczne nic nie znaczą. O tem — broń Boże — wspomnąć. Najwięcej się wypytywali o rzeczy gospodarczo-handlowe: gdzie chodzicie na jarmarki, gdzie kupujecie mąkę, naftę, sól, cukier, gdzie sprzedajecie wasz nadmiar żywności albo bydło, masło, jaja? Które drogi lepsze, do Słowaczyny albo do Polski prowadzące. Jaki ogólny nastrój ludności? Jak się zachowują okupanci Czesi? Czy pozwalają na życie narodowe polskie? Czy nie przeszkadzają w sprowadzaniu książek i nowin polskich, czy nie obrażają religijnych uczuć ludności? Wszystkie pytania bardzo ciekawe i proste. Na wszystkie odpowiedzieli gazdowie bar-

dzo mądrze, dając do zrozumienia dyplomatom, że jedna z głównych przyczyn — oprócz narodowości — naszego garnięcia się do Polski, to wiara katolicka. Z oburzeniem słuchali ci dyplomaci o barbarzyńskich strzelaninach do figur świętych i publicznem spiewieraniu kościoła. Pytali się ci panowie i o to, czy lud polski na Orawie-Spiszu ze Słowakami w przyjaźni żyje? Gazdowie bardzo energicznie zaznaczyli, żeśmy ze Słowakami zawsze najlepiej żyli i żyć chcemy, gdyby świeży najeźdźca i kilkunastu przez Czechów kupionych Słowaków tych serdecznych stosunków nie psuło. Pierwszym jednak warunkiem tego spokojnego współżycia jest oddanie Polaków Polsce. Żaden uczony profesor nie potrafiłby tak zręcznie bronić swojej ziemi, jak ci dwaj gazdowie to w Paryżu czynili u Anglików i Amerykanów. Ile tam było różnych krzyżowych pytań! Były to już informacje czeskie, o których nas jeden Anglik zupełnie zawiadomił. Jakże się ci panowie nazywali, którzy się tak dokładnie o nas wywiadywali? Byli to z Ameryki: prof. Lord, sekretarzowie stanu Backer i Bowman, ambasador White, z Anglii prof. Paton i sekretarz Lloyda George'a. Najbardziej szczegółowo się z naszą sprawą obznajomili: Bowman i Paton. Takeśmy tedy od pana do pana chodzili.

Okropnie się wszystkim tym panom ubrania gazdów podobały, no i znajomość języków, bo gazdowie oprócz angielskiego dosyć dobrze mówili i po niemiecku. Ich ofiarność dla Ojczyzny — że się w takich trudnych warunkach na taką wielką podróż wybrali, podziwiali ogólnie. Zwłaszcza, kiedy się dowiedzieli, jako się przekradli przez bory, przez wody do Polski, bez której i poza którą żyć nie chcą ani nie mogą. Obiecali im też ze swej strony wszelkie poparcie. Wesole było czekanie na posłuchaniu u sekretarza stanu Backera. Zgromadził się koło nas szereg Amerykanów i rozmawiali z gazdami aż

się kurzyło. Byliśmy przekonani, że to wszyscy rodzeni Amerykanie, dopóki jeden z nich gazdów nie zapytał: „a wy nie ruski“? Był to Moskal i znalazło się ich zaraz czterech. Pochwili zaś odezwie się natarczywy głosik: „Wiem, wyste- ze státu československého“ — Masz go; Czech! Gdzieby go nie było, gdzieby on nie wlaź? „Ja sem Ameryka- nem“ — powiedział nam. „My to zaś i w Ameryce i w Pa- ryżu Polocy jak zawse“. I ukazało się, że w całym tym szeregu wywiadowców tylko dwóch Amerykanów było. Gaz- dowie, widząc gdzie się dostali, poszli za moim przykła- dem i wynieśli się do drugiego pokoju, gdzie nam już spokój dali.

Wilson.

Do Wilsona się dostać!...

Wyrażaliśmy tę naszą gorącą prośbę kilkanaście razy, ale nam powiedziano zawsze, że to bardzo trudna rzecz, ba nawet niemożliwa. Prezydentowi Wilsonowi brak czasu na inne, ważniejsze sprawy. Tak nam mówili i w Komite- cie i nasi przyjaciele Amerykanie. Myśmy się do Wilsona jednak dostali. Jak się to mogło stać? Wcale to nie szło trudno. Dzięki artykułom o Spiszu i Orawie w paryskim „Polaku“, zwłaszcza w wielkim ilustrowanym dzienniku francuskim „Excelsiorze“, dowiedział się o nas hr. Ksa- wery Orłowski. Wyszukał nas i zadał nam to arcycie- kawie pytanie: „Byliście już u Wilsona?“ „Nie“. „A chcie- libyście“? Ja mu zaś na to: „Panie, jakże się można coś podobnego pytać! O tem śnimy codziennie, o tem po- słuchaniu marzymy, jako o jakim niedostępnym raj“ „Mam nadzieję, że będziecie w krótkim czasie u Wilsona“, zakończył Orłowski. Było to 2-go kwietnia. Wtedyśmy o wy- jeździe zaczęli myśleć, ba nawet starania robić; sprawa była więc dosyć pilna. 3-go przyjechał po nas Orłowski,

wsadził do samochodu wszystkich i jazda! Zaprowadził nas do angielskiej hrabiny Luart, której babka była Polką z rodziny hr. Zborowskich. Ta pani zaś ma jednego znajomego amerykańskiego ambasadora Francji p. White'a, który znowu jest jednym z najlepszych przyjaciół Wilsona. U tej hrabiny byliśmy 4-go po południu o 3-ej. Piotr tak serdecznie do niej przemówił, że nam ze łzami w oczach pisała list polecający do White-a. Z tym listem, którego treści nie znamy, poszliśmy zaraz do White'a. Przyjął nas zaraz. Wysoki, siwiutki ale tęgi starzec. Po przeczytaniu listu powiada do gazdów: „Proszę, p. Wilson jest chory, więc was teraz nie może przyjąć, ale jak tylko wyzdrowieje, postaram się natychmiast, abyście się z nim widzieli“. Czekaliśmy więc z największą niecierpliwością, aby Wilson wyzdrowiał. 9-go naraz czytamy w gazetach, że Wilson już był na posiedzeniu. A więc jest zdrow. I zaczęliśmy się bać, czy nas też naprawdę przyjmie, czy ten pan o nas pamięta? 10-go wpada do nas jak burza hr. Orłowski z zwycięskim okrzykiem, daje nam list White-a. Pisał w nim, że prezydent tych dwóch górali dzisiaj albo jutro przyjmie u siebie. Prosił, aby mu podać ich adres, aby wiedział, gdzie telefonować, jeżeli Wilson ewentualnie nagły termin wyznaczy. Ani rusz 10-go z domu, takeśmy czekali! Oczywiście wielkie przygotowania na temat, co mu powiemy? Gazdowie na gwałt czytali Święte Pismo po angielsku i gazety angielskie, aby się jeszcze w ostatniej chwili lepiej wprawić do tego dziwnego języka. Byli obaj w Ameryce, ale już dawno. Piotr wrócił już 25 lat, Wojtek zaś 15 lat temu. Mała nauka więc wcale nie zaszkodziła. Piotr sobie najwięcej biblij wbijał w pamięć. Odczytywał tedy najwięcej te części. I raz mi tak powiada: „Kielok sie tez oto namyśloł, jako po angielsku kłamać, jazek się dziś z Pisma świętego do-cytoł“. O godzinie 6-ej po poł. nadszedł drugi list p. White'a, w którym nas zawiadamiał, że Wilson tych dwóch górali przyjmie jutro 11-go kwietnia o godz. 10-ej w swoim

prywatnem mieszkaniu na placu Stanów Zjednoczonych Nr. 11. Myśmy się z dr. Rouppertem zaczęli powoli obawiać, że nas do Wilsona nie puszczą; w obu listach było bowiem tylko o dwóch uczciwych gazdach. Noc szczęśliwie przeszła. Wojtkowi się śniło, że go świnia pocałowała. Uważaliśmy to za znak niezły. Wstaliśmy raniutko, pięknie się ubrali, wygolili. Ja odprawiłem mszę św. na intencję posłuchania u Wilsona, gazdowie zaś przystąpili na tę samą intencję do komunji św. O 9¹/₂-ej wyruszyliśmy z hr. Orłowskim na plac przeznaczony. Mnie i Rouppertowi ciągle w głowie te nieszczęśliwe słowa listu: „tych dwóch uczciwych górali“. Jak nas też nie puszczą? Przychodzimy na plac Stanów Zjednoczonych. Pełno francuskich policjantów, którzy baczą, aby się tam ktoś niepowołany nie dostał. Nie przeszkadzali nam, bo wszyscy byli zawiadomieni, że przed 10-ą przyjdzie dosyć egzotycznie ubrana delegacja do prezydenta. Przed Nr. 11 cała chmura żandarmów, oficerów francuskich i amerykańskich. Puszczają nas bez przeszkód. Wychodzi sekretarz Wilsona i prosi o dwóch gazdów. Masz! zlekliśmy się z Rouppertem bardzo. Być w Paryżu, a Wilsona nie widzieć, to nic. Ale być w przedpokoju Wilsona a niewidzieć go, toby było niedołęstwo. Oświadczamy więc sekretarzowi, żeśmy dotąd na wszystkich posłuchaniach razem byli itd. I nie pytaliśmy się wcale, czy puści; szliśmy za gazdami do Wilsona.

Byliśmy przyjęci w jego własnem mieszkaniu. Ledwieśmy weszli, prezydent Wilson podszedł do nas, podał rękę Piotrowi i nam wszystkim a pytał się: „Hou do jou do? Jak się macie? Z jakiej przyczynicie tu przybyli?“ I wiecie moiściewy, że niemało nam tem kłopotu narobił. Bo Piotr i Wojtek wymyślili cały plan, co i jako będą u Wilsona mówić! Wojtek wrócił później z Ameryki, był tam 7 lat, i tak sobie ten bulkoczący język zapamiętał, że się nie znalazł w Paryżu Amerykanin, któregoby on nie zrozumiał. Piotr zaś był tylko dwa lata w Nowym Świecie



PREZYDENT WILSON.

i już bardzo dawno wrócił, nie rozumiał więc tak dobrze każdego. Natomiast mówił łatwiej od Wojtka. Zgodzili się więc tak, że Piotr będzie do Wilsona przemawiał, Wojtek zaś będzie się tylko przysłuchiwał, aby wszystko zrozumieć, aby ani jednego słówka nie opuścić. Korzyść tej umowy miała być ta, że jeżeliby czegoś Piotr nie rozumiał, Wojtek mu zaraz podszeptnie po naszymu, co powiedział Wilson.

Jeżeli już o tych przygotowaniach piszę, muszę wspomnieć o naszej ugodzie, lepiej mówić, planie — z dr. Rouppertem. Spodziewaliśmy się bowiem, że na naszym przyjęciu będzie i p. Wilsonowa. Mówię ja więc rano do dr. Roupperta: „Panie profesorze, musimy pracę podzielić. Przemówić u Wilsona napewno nie będziemy mogli, jest to bowiem przywilej gazdów. My będziemy mieli prawo — jeżeli nas puszczą — oglądać a podziwiać Wilsona i jego żonę“. I teraz omal kłótnia nie powstała, który z nas ma obserwować Wilsona, a który Wilsonową. Obaj my się o Wilsona upierali. Przekonałem jednak Roupperta, że mnie jako księdzu wcale nie godzi się panie obserwować (ku temu jeszcze starsze!), i zostało na mojem. — Ale wracam do Wilsona. Jakom już wspomniał, Wilson tem pytaniem prawie zamętu narobił. Piotr sobie bowiem ułożył taki porządek w przemówieniu: przywitanie się, przedłożenie prośby i podziękowanie za przyjęcie. To miało być wszystko. A tu ci Wilson na gwałt pyta: z jakiej przyczynyście tu przybyli? Piotra to na szczęście ani na chwilę nie zmąciło. Stał sobie bliźniutko Wilsona, wziął jego prawą rękę do swojej lewej a prawą rękę w ciągu przemówienia ciągle gładził Wilsonową rękę. Mówił zaś tak: „My tu przybyli z dwóch małych krajów tatrzańskich ze Spisza i Orawy. Ludność tych ziem jest czysto polska. Ziemie nasze są teraz przez Czechów nieprawnie okupowane. Przyszliśmy prosić Konferencję pokojową, aby nas wyzwodziła z pod jarzma czeskiego, a przyłączyła nas do Polski, do tego państwa, które do nas ma jedynie

prawo“ — i tutaj Piotr zmienił głos w opowiadaniu i z radosnym uśmiechem, ciągle głaskając Wilsona po prawicy, mówił dalej: „Jesteśmy niezmiernie szczęśliwi, że możemy Waszą Wielkość z tak bliska — z oczu do oczu oglądać, widzieć Jego miłościwą twarz a słyszeć bicie Jego szlachetnego serca“.— Wojtek stał przy lewej ręce Wilsona, Rouppert za Piotrem, ja zaś za Wojtkiem. Obok Wilsona na prawo stała jego pani, zaś za nimi adjutant i sekretarz prezydenta.

Wszyscy słuchali Piotra ze śmiejącem się zaciekawieniem. Wilson zdawał się być trochę zmieszany. No bo jakżeby nie! Przecież do niego chyba nikt tak nie przemówił, jak Piotr Borowy z Orawy. Uśmiechał się, a patrzył to na Piotra, to na Wojtka. I zauważyliśmy, że chciał wiedzieć, gdzie to ten Spisz i Orawa. Myśmy z Rouppertem byli w ostrem pogotowiu. Natychmiast wręczono mu mapkę Spisza, Podhala i Orawy. Ten „worek“ zakopiański był na tej mapce tak grubo narysowany, żeby i ślepy mógł zobaczyć dzisiejszą dziwną granicę. Trzymał Wilson tę mapkę, oglądał i zrobił palcem ruch po niej, wyrównując niedwuznacznie nasze Podhale. Zwrócił się do gazdów i ukazując na Spisz, zapytał się: „Kto tu mieszka“? „Ja jestem przedstawicielem tego kraju, tam po Kiezmark Polacy żyją“— powiedział Wojtek. Tak samo pokazał na Orawę i również się zapytał, kto tu mieszka? Wtedy Piotr powiedział: „Ja pochodzę stamtąd. Mamy na Orawie 24 wiosek czysto polskich“. Wilson się teraz trochę zastanowił! Oglądał mapkę, gazdowie mu zaś tłumaczyli, ile tam Polaków żyje. I kiedy Wilson palcem znów miał ochotę wyrównać i zniszczyć ten worek zakopiański na mapie, Piotr go chwycił za rękę i z nadzwyczajnie miłą stanowczością mu oświadczył: „To, to, to, tego sobie życzymy p. Prezydencie!“ i śmiejąc się do niego, z wielką wiarą powtórzył swoją prośbę: „Niechże też Pan Prezydent będzie tak dobry, a nasze czysto polskie ziemie przy-

wróci Polsce". Myśmy z Rouppertem drżeli od radości. To się bowiem Piotrowi bardzo udało. Wilson był wzruszony. Prosty sposób mówienia gazdów niemało go zaskoczył. Zaczął i Wojtek prosić, za lewą rękę ścisnąć i śmiać się do niego. Zapomnieliśmy o wszystkich umowach między sobą. Przemówiliśmy powiem wszyscy do Wilsona (gazdowie po angielsku, my zaś po francusku), p. Wilsonową oglądaliśmy ukradkiem i ja. To miłe zamieszanie nie trwało długo. Na prośby gazdów Wilson tyle powiedział: „O ile to będzie odemnie zależało, zrobię wam to! A Piotr na to: „Kiedy my p. Prezydencie dobrze wiemy, że Pan wszystko możesz zrobić, to tylko od Pana zależy“ — powiedział to dwa razy. To trzeba było widzieć a słyszeć. Tak przemówić, z takim przekonaniem potrafi tylko najgłębsza wiara. Wilson nie mógł nie zauważyć tej wiary. Nie długo też zwlekał z odpowiedzią. „All right“ — pocieszył nas. Serce mi miękło od pociechy. Gazdowie teraz z p. Wilsonową rozmawiali. Ofiarowali jej swe fotografie, które ona przyjęła. „Weri neis“ — (bardzo ładne) powtarzała ciągle. Pytała się, skąd gazdowie mówią po angielsku. Zdziwili się — ona i Wilson niemało, słysząc, kiedy to już Piotr i Wojtek z Ameryki wrócili. Wręczyliśmy jeszcze Wilsonowi fotografię tych słynnych czeskich map: na tej z 1913 roku byli Polacy na Spiszu i Orawie, na mapie zaś wydanej przez Czechów w r. 1919 ani śladu o nas. Oprócz tego dali mu gazdowie krótki memoriał o naszej sprawie, który Wilson obiecał przeczytać. Teraz Piotr zaczął dziękować Wilsonowi za jego dobre serce ku nam. Prosząc jeszcze raz o pamięć o nas — pożegnaliśmy się.

Byliśmy u Wilsona wszystkiego 8 minut. Jak to jednak i taka krótka rozmowa człowieka uszczęśliwi! Wychoziliśmy upojeni szczęściem. Kiedy nas w przedpokoju czekający hr. Orłowski zobaczył, cieszył się bardzo. Czytał bowiem z naszych twarzy, żeśmy na darmo u Wilsona nie byli.

Prędyutko wyleciał za nami sekretarz Wilsona i mó-

wił do Orłowskiego. „Prezydent zachwycony. Powiedział, żeby mu było sto razy milej, gdyby takie delegacje do niego przychodziły, aniżeli różni dyplomaci“. Tak wej gazdowie z Wilsonem radzili. Najlepiej się zaś Wilsonowi musiało spodobać, żeśmy krótko u niego bawiii. Ciekawe to wiecie było posłuchanie. Bo ta u Wilsona posłuchań nie mało, ale jakich? Przychodzą panowie we frakach i stojąc sztywnie opowiadają zimnym głosem, o co im chodzi. Tu ci zaś przyśli gazdowie w portkach sukiennych i serdakach i — rozmawiali sobie z Wilsonem, jak gazda z gazdą. Nie wiem, czy ta dobrze zauważyłem, ale i Rouppert to samomówi, że prezydent Wilson był trochę w kłopotcie, a gazdowie byli panami sytuacji.

Szkoda, żeście nas nie widzieli wracających od Wilsona! Bo ani żywy duch o tem w Paryżu oprócz nas nie wiedział, że pójdziemy do Wilsona. Ani Paderewski, ani Dmowski! Szliśmy wprost do Komitetu Narodowego. Gdybyście nas byli — idących — zobaczyli, bylibyście zanucili:

„Kto też hań idzie poprzed nos,
Wysy brode niesie jako nos“.

W takim honorze doszliśmy do Komitetu, gdzie nas temi słowami przyjęto: „No biedacy, gdzieżeście ta zaś dziś łazili?“ My się na to porządnie wyprościli, prześliśmy się z podwyższoną głową po pokoju i tak z boku im szepnęli: „U Wilsona“. Wybyście się 18 maja rano lepiej nie zdziwili, widząc śnieg na dachu, jako ci panowie. „Co-o? U Wilsona? Bójcie się Boga, a jakim sposobem wyście się tam dostali?“ My zaś na to: „Spisz i Orawa to biedne kraje, na które niejednen Polak w Paryżu chętnie palcem kiwnie, my tu jednakowo mamy tajne spisko-orawskie sprężyny, które nas do Wilsona zaprowadziły“. — I była sensacja w Paryżu. Pisały o tem dzienniki francuskie, angielskie, polskie i czeskie.

To posłuchanie u Wilsona ma dla nas bardzo wielkie znaczenie; że mamy dziś głosowanie, że nas nie oddano Czechom, za to przeważnie Wilsonowi można dziękować.

Gazdowie i Paryżanki.

Czytaliście już trochę o naszych wędrownkach w Paryżu i u najrozmaitszych dyplomatów. Są jeszcze do opisania liczne rozmowy z dziennikarzami i politykami państw sprzymierzonych. Aby się jednak czytelnikom nasze sprawozdanie nie znudziło, zrobię małe wykolejenie w pisaniu. Zapomniemy o Wilsonie, o Kramarzu, o wszystkich dyplomatach a dowiedzie się o przygodach gazdów z Paryżankami. Pewnieście już wszyscy nieraz słyszeli, że ten Paryż, to ma być ładne miasto. Bo i ładne. O tem napiszę osobno. Ale czy i Paryżanki ładne? Trudno mi wiecie na to pytanie odpowiedzieć, bom w tym kierunku — jako ksiądz — niewycwiczony. Ale myślę, że prawdę napiszę, dzieląc je na **ładne i mniej ładne** (tak mi opowiadali gazdowie). Na ulicę to się każda kobieta porządnie ubierze, wygląda więc i brzydka jakoś — tak, że gazdowie słusznie podzielili Paryżanki na ładne i mniej ładne. Do żadnych zaś rodzin gazdowie na gościny nie uczęszczali ani też znajomości nie zawarli, nie mamy więc pojęcia, jako te Paryżanki w życiu rodzinnem wyglądają.

Zdarzyło się kieniekie, żeśmy mieli trochę wolnego czasu, nie nudziłyśmy żadnych sprzymierzeńców — ani też oni nas i — jazda na oglądanie miasta. To była nasza rozrywka. Ludzie nas oglądali niemało, ale znów niezbyt. W Paryżu bowiem tyle rozmaitych dziwnych i dziwacznych ubrań, że się w tem mieście bardzo niczemu nie dziwią. Jednakowoż nasi gazdowie zrobili sensację swoimi białymi sukiennymi portkami i cuceckami. W pierwszym tygodniu nas tylko oglądali. Nie wiedzieli, co to za ludzie

mogą być? Dużo razy się wypytywali, czy my nie z Tur-
 kiestanu, Syberji albo Rumunji. Ale gdy pisma paryskie
 i kina przyniosły fotografię naszych gazdów z potrzebnem
 wyjaśnieniem, że to górale ze Spisza i Orawy, Polacy przez
 Czechów prześladowani, popularność gazdów stała się za-
 wielką. Idąc po ulicy, coraz częściej przystępowały ku nim
 Paryżanki a głaskały ich po twarzy, albo też ścisnęły im
 ręce. Oni zaś niebardzo się oganiali. No i wiecie, z dnia
 na dzień śmielsze sceny z góralami. Jadę ja sobie raz
 z góralami do kina (ukazywali życie Zbawiciela). W kolei-
 podziemnej, jak zwykle, dużo podróżujących. Ludzie na
 stacjach wchodzą a wychodzą, wszystko nas z uśmiechem
 ogląda. I co się stało! Stoi sobie Wojtek w wagonie,
 pali fajeczkę. Staneła przed nim jakaś pani, śmiała się do
 niego, raptownie mu się rzuciła na kark i — pocałowała
 Wojtka. W dosłownem znaczeniu! Co to jest? Pa-
 trzę ja w stronę Wojtka i wszyscy podróżujący. Wojtek się
 zaś tej napaści niebardzo zląkł. Przeciwnie. Musiało mu
 się to spodobać, bo zamiast, aby pani powiedzieć z obu-
 rzeniem: przepraszam bardzo, i on ją — pocałował. Byłem
 w niemałym kłopotcie. Cały wagon ryczał od radosnego
 śmiechu. Śmiałem się i ja. Piotr się za mnie skrył, aby się
 na niego nie rzuciła. A Wojtek z Paryżanką dalej zazywał.
 Ona mu ciągle mówiła: „Mon ami — mój przyjacielu, jako
 ja cię kocham“! On zaś nie rozumiejąc, co mu oświadcza,
 z uśmiechem powtarzał do niej angielskie „Jes, jes“. Mnie
 to gniew szarpał, to mnie zazdrość trochę brała, a prze-
 dewszystkiem śmiałem się do skonania. Uważałem jednak,
 że już powinno wystarczyć tej przyjemności i powiedziałem
 do Wojtka: „Eh, co wy to robicie Wojtku? A kie-
 jo to w doma wasej babie opowiem“? Paryżanka zauwa-
 żyła, że ja i jej napewno przeszkadzać mam zamiar, po-
 patrzyła się na mnie trochę z gniewem. Ale ten gniew nie
 długo trwał. Twarz jej prędko się rozjaśniła i zapytała się
 mnie z miłym uśmieszkiem: „Pan także Polak“? — „Ow-

szem, owszem“ — brzmiała francuska odpowiedź — i pomyślcie sobie, czego ona nie chciała zrobić? Miała poważne zamiary na mój kark się rzucić i swoją gębusię na mnie wypróbować. Rozumie się nie dopuściłem do tego skandalu, z oburzeniem odparłem ją rękami. Od śmiechu aż gielcało we wagonie. Śmiała się i ona, a Wojtkowi ciągle szeptała do ucha: „mon ami, jakiś ty ładny“! Na szczęście wysiadła! Po mojem energicznem wystąpieniu inne Paryżanki jakoś nie miały odwagi nas zaczepić. Ja się teraz wziąłem do Wojtka. Mówiłem mu, że to nijako nieładnie, takie całowanie, a straszylem go, że wszystko opowiem żonie. A Wojtek na to wyjął fajeczkę ze zębów i oświadczył mi zadowolonym głosem, śmiejąc się do mnie: „Pon kopłon, dyć to nie było pierwszy raz“. — Masz go! I opowiada mi jako go i po ulicach Paryżanki napastują: głaskają po twarzy, po czapce, po rękach a niektóra to i pocałuje. „Fajne, porządne to tu baby — mówił — bo uczczą obcego człowieka“. — Teraz ja dopiero zrozumiałem, dlaczego Wojtek tak chętnie sam po ulicach spacerował — bo go Paryżanki uczciły!! Stał sobie raz Wojtek przy łuku tryumfalnym i oglądał z fajką w zębach — napisy, gdzie to wszędzie Napoleon swoich nieprzyjaciół pobił! Zgromadziło się koło niego prędko dużo Paryżanek. Każda go chciała zbliżka oglądać. I wiecie, nie uwierzylibyście, ale święta prawda, że w ogonku te miłe stworzonka stały, aby się tylko do Wojtka dostać i po twarzy go pogłaskać. Jako więc i z tego widzicie, gazdowie w Paryżu dosyć urozmaicone życie prowadzili. Abyście zaś nie myśleli, że niniejsze opowiadanie jest jakimś wymysłem, za prawdziwą autentyczność swoim własnoręcznym podpisem odpowiada przed Bogiem i ludźmi Ks. Ferdynand Machay.

Co się gazdom w Paryżu podobało i nie podobało.

Ani na Piotra ani na Wojtka to cudowne miasto żadnego nadzwyczajnego wrażenia nie zrobiło. Widzieli Wiedeń, Berlin, Hamburg nawet Rzym. Kiedy się ich ktoś zapytał, jako im się Paryż podoba, to zawsze z ramienia odpowiadali, bez najmniejszego zdziwienia: „no ładne miasto“. I aby sobie wypytyjący nie myślał, że rozmawia z kimś, kto poza nosem nic nie widział, gazdowie zawsze dodali wyjaśnienia: „ale ładne miasto i Rzym, a New Jorkowi ta też nic nie pedzieć“. Zaraz się można było zorientować, że to górale światowcy.

Jako to już na początku opisałem, do Paryża przyjechaliśmy 19-go marca rano po 8-ej. Człowiek się spodziewał na dworcu czegoś nadzwyczajnego. Dworców w Paryżu jest kilkanaście. Nasz pociąg stanął na wschodnim Gare de l'Est. I wiecie, nic się tam nowego nie widziało. Ci sami brudni kolejarze i dźwigacze. Na peronie pełno różnych pakunków i walizek. Taki sam nieład i nieporządek jako u nas. Pierwsze co nam zaimponowało, to była wielka ilość samochodów „taxi“, obozujących pod dworcem. W Paryżu taxi to ważny środek komunikacyjny. Pojedyncze dzielnice mają wielkie stowarzyszenia samochodowe, od których potem można taki taxi wdzierzać. Na Polaków dzisiejszej Warszawy, Krakowa, albo i ze wsi, jako myśmy byli — robi ten ruch samochodowy ogromne wrażenie.

W pierwsze dni pobytu w Paryżu od tych wyczących i dymiących smoków aż nas głowa bolała. Na niektórych ulicach i placach roi się od nich, jak od mrowiec w kopcu. Trzeba być spryciarzem, aby się módz na drugą stronę przedostać na przykład przed Operą, na Polach Elizejskich i t. d. Nie jednego człowieka przejeżdżają codziennie samochody. Ja sam sprowadziłem nieszczęście na jakiegoś

Amerikanina żołnierza. Z przeciwnych stron uciekaliśmy obaj, aleśmy się nie widzieli, bo i ja i on patrzyliśmy na pięty. Rypś! — coś o mnie. Nie chcę go posądzać, że może chciał to zrobić, co się z nim stało. Góralskie kości go bowiem tak gwałtownie na ziemię rzuciły, że automobiliści mieli z nim dużo kłopotu, aby go nie przejechać. Muszę tych francuskich szoferów pochwalić. Bo bardzo dobrze tą korbą kręcą. Gdyby nie ich pilna uwaga i wielka pewność w kierownictwie, nie wiem, czybyśmy bruku parykiego nie przepiecętowali. Żal nam było zawsze Piotra przy przechodzeniu z jednej strony ulicy na drugą. Jest bowiem trochę dychawiczny. A tu trzeba było porządnie pędzić. Raz pytał się gazdów pewien Francuz, coby trzeba było w Paryżu według ich zdania zaprowadzić? „Zniszczyć wszystkie samochody“ — brzmiała odpowiedź. „A to dla czego?“ — pytał się zdumiony Francuz. „Abyśmy mogli swobodnie po ulicach spacerować“. Francuz to zaraz dał do gazet i narobił dużo wesołości. Nieraz się potem zdarzyło, że się nas na ulicy ludziska pytali, kiedy nam już przestaną samochody w spacerach przeszkadzać. Nie chcieliśmy wcale wierzyć, kiedy nam mówiono, że za czasów pokojowych ruch ten był dużo większy. Niemała to wygoda w takim mieście te taxi, ale znowu nie tak bardzo pożądana. Chodziliśmy raz całe popołudnie po mieście. Ja więc mam długie nogi (nie ręce!) gazdowie się więc porządnie zmęczyli i spocili na tej przechadźce. Przychodzimy do domu, Piotr bierze ręcznik, aby pot otrzeć. Ani gdyby kominiarz był miał ten ręcznik w ręku! Z tego powodu Wojtek nie mógł się nażalić nad drzewami po ulicach. Najlepiej zaś będzie dym samochodów pamiętała biała cuczeczka Wojtka. Po 4-tygodniowym pobycie w Paryżu stała się ona poważnie szarą. Ale dosyć o tych samochodach. Jeszcze cena. Nie każdy może sobie pozwalać codziennie na taxi. Za 5 km. drogi trzeba dobre 3 franki (tj. z napiewkiem) zapłacić. To może jedyna instytucja, gdzie się

o napiwki upominają. Jest wykluczonem nie dać, tak stanowczo każdy szofer żąda.

Skorośmy się zaplątali do środków komunikacji, załatwimy tę sprawę doszczętnie. Fiaków w Paryżu zaledwie widać. Wogóle konia się tam rzadko widzi. Śmieci wywożą koniami. Często spotykałem pewnego szmaciarza na koniku z małym wózkim. Był to rodak z Lublina wyznania mojżeszowego. Chwalił sobie bardzo ten interes. Nieraz tośmy aż zapragnęli konia zobaczyć. Tu i ówdzie się zjawia po bocznych ulicach jakiś powóz z paradnym woźnicą. Mówiono nam, że tylko bardzo bogaci jeżdżą fiakrem.

Najważniejszym środkiem komunikacji w Paryżu to tak zwane „Metro“ tj. kolej podziemna. Bardzo to ciekawa rzecz i dla Paryża niezbędnie potrzebna. Ciekawicie dlaczego? Idzie człowiek po ulicy, roi się od ludzi. Cóżby to dopiero był za ścisk po mieście, gdyby tej podziemnej kolei nie było? Jak ona wygląda? Pod całym miastem zbudowano 10 takich linii, z podwójnymi torami. Każda kolej ma 5 wozów, w środku jeden wóz I-ej klasy, na prawo i lewo po dwa wozy II-ej klasy. Z tych czterech wozów II-ej klasy są dwa z ławeczkami, dwa znów wyłącznie dla stojących. Do tych ostatnich może wejść dobrych 200 ludzi, do tamtych 130—150! Cena I-ej klasy 30 centimów, II-ej zaś 20. Kiedyśmy pierwszy raz zeszli na tę kolej, Wojtek stanowczo zaczął twierdzić, że w całym Paryżu nikogo niema w domu. Takie niesłychane tłumy tylko na Kalwarji widzi się na Zielną. Co trzy minuty jedzie świeży pociąg, a to punktualnie, za godzinę więc 20 pociągów na jednej linii, na 10 godz. zaś 200. W każdym pociągu jest najmniej 600 ludzi, za jedną godzinę więc pod ziemią przewiozą 120000 ludzi. Za 10 godzin 1,200.000. Wprost szalony ruch. Zostałem parę razy umyślnie dłużej na niektórych stacjach, aby się przekonać, czy do każdego pociągu napłynie tyle ludzi. Wygodnie można jechać wczas rano i wieczór między 21—22-ą. Tak zaś od 12—14-ej (obiad), przed 19-ą (zamknięcie

sklepów) i 23-ej, to w metro okropny ścisk. Raz ci kolejarze pół dnia strajkowali, to się niemożna było ruszyć na ulicach od ludzi. Trzeba było dobrego inżyniera ku takiej pracy. Bo niechby się tak całe miasto zapadło. Ale się ta w Paryżu nikt nie boi tego nieszczęścia.

Chodzą i tramwaje po ulicach, i to dosyć gęsto. Ale ludzie ich niedużo używają. Dużo razy widzi się wóz prawie próżny. Tylko w czasie obiadu, wieczery, powrotu z teatru, są i tramwaje przepełnione. Łazi po Paryżu i autobusów dosyć, ale nie konnych. Coś w rodzaju samochodów. Potwornie wielki wagon, nawet o dwu piętrach, a jedzie sobie na gumowych kołach. Takich linii niedużo.

Paryż z licznymi przedmieściami ma doskonałe połączenia kolejowe. Naprzykład do Wersalu, gdzie to Niemcy pokój podpisywali, można zajechać tramwajem i trzema kolejami, które kursują co 20 minut. A przy tych rozmaitych wygodach dosyć ludzi i piechotą chodzi.

* * *

Zaprowadzę was nareszcie tam, gdzieśmy się w Paryżu po swojemu czuli: do kościołów. Człowiek tylko na obczyźnie może dokładnie pojąć, jak wielkie znaczenie ma jedność w kościele katolickim. Błądząc po mieście czuł się człowiek prawie zgubionym. Niezrozumiały język, obcy ludzie, obce zwyczaje. W takich warunkach zwiedzanie kościoła działa bardzo korzystnie. Zobaczy się tam bowiem te same nabożeństwa, jakie ksiądz w Jabłonce, w Ludźmierzu albo w Lubowli odprawia. I w tym samym języku. Człowiek się pomodli w tem naskiem otoczeniu, i powietrze, jak u siebie. Z wielką ulgą serca myśmy się przekonali, że niewszystko prawda, co się o Paryżu słyszało. Gazdowie ta już ani jednego dnia nie opuścili kościoła przez cztery tygodnie. Bo gdzieżby ta góral do 7-ej albo do 8-ej godziny spał? Zwyczajnie dobrze przed 7-mą wy-

chodzili gazdowie do kościoła, nie zapominając nigdy zapukać do drzwi i zawiadomić mnie, że „już czas“. Ale do tego czasu i Piotr i Wojtek już cały różaniec zmówili a Wojtek dwie fajki wydymił. Służba hotelu nie mogła się nadziwić, dlaczego gazdowie tak wczas wstają. Piotr zaraz w pierwsze dni mówił do mnie: „Wiedzą co, dy to tu bardzo porządny naród. Dyć tu każdziusieńkie rano kościół nabity“. Zrobiło to i na mnie niemałe wrażenie. Wojna zmieniła trochę Francuzów. We francuskim wojsku pełnili służbę wojskową nietylko księża kapelani (zwani jałmużnikami) ale i księża-żołnierze, księża-oficerowie. Ich bezwzględna ofiarność i bohaterstwo niejednego Francuza nawróciły. Więcej działał jednak przykład marszałka Focha, który jest nietylko wierzącym, ale i praktykującym katolikiem. Nie podobało się gazdom, że podczas nabożeństwa tak często pieniądze zbierają. We Francyi po kościołach ławek niema. Są gęsto ustawione krzesła, za które trzeba 5 centimów płacić. Po wszystkich kościołach ten urząd starsze kobiety piastują, żony któregoś z kościelnych. Bo widzielibyście, ile to kościelnych łązi w ogromnej katedrze „Naszej Pani“ (Kościół Najśw. Marji P.). A jakie mają paradne ubrania! Lakierki, białe pończochy po kolana, czarny „frak“ szeroką wstążką przepasany, na piersiach ordery, a kapelusz! u nas takiego nie widać, taki dziwacznie piękny. W prawej ręce ma ten generał jakąś laskę. Chodzą ci panowie z księdzem po kościele, który zbiera jałmużnę. „Syćko tu ładnie, aby tylko tyle pieniędzy nie zbierali, — mówił Wojtek — przeco to robią?“ Dopiero kiedym im wytłómaczył, że we Francyi księża nie mają majątków i że państwo ich wcale za pracę nie wynagradza, to się nietylko przestali gniewać, ale i grosza na ten cel nie żalowali. „To u nas lepiej“ — mówili często, a nie mogło się im w głowie zmieścić, że taki katolicki naród coś podobnego mógł zaprowadzić. To kiepskie materialne położenie księży jest przyczyną najrozmaitszych cen pogrzebów i śiubów. W Paryżu po zakry-

stjach wiszą tablice, na których każdy ciekawy może czytać, ile będzie w tygodniu ślubów i w drugi dzień pogrzebów. Zaciekawienie moje wzrosło do największego stopnia, kiedy zobaczyłem taki napis: pogrzeb XII-ej klasy, ślub II-ej, XV-ej klasy. „Rany Boskie — pytam się jednego z księży — co to jest?” I on mnie dopiero tłumaczy, że jeżeli kto chce z paradą mieć ślub albo pogrzeb, to je może mieć, ale zapewnił mnie — i pogrzeb ostatniej klasy jest bardzo porządny i tani. I prawiem mógł popatrzeć na pogrzeb II-ej klasy. Kościół był wewnątrz i zewnątrz czarnem suknem obity, cały las rozmaitych kwiatów, drzew, świec. Przy drzwiach kościoła wielki stół, przy którym stało dwóch kościelnych — generałów. Na stole z 10 arkuszy papieru z czarnym krajem i tyłuż ołówkami. Każdy wchodzący napisał swe nazwisko na arkuszu i dostał jakiś obrazek. Jest to niby dosyć grubijańska kontrola, kogo brakowało na pogrzebie. Msza św. była cicha, po niej kazanie. „Ileż to kosztuje ta parada?” — zapytałem się, — „3000 franków“. I kiedy mi wyliczył, ile za kwiaty, za sukno, świece, robotników, tom się aż zląkł, że księżom tak mało zostało.

Kościółów w Paryżu niebardzo dużo, ale przepiękne. Najlepiej się gazdom podobał kościół N. Marji P., św. Magdaleny i Serca P. J. Myśmy chodzili do kościoła św. Ferdynanda. Byliśmy i w tym kościele, do którego Niemcy w tamtym roku bombę rzucili i porządnie zniszczyli. Jeszcze do dziś dnia nienaprawiony. Najwięcej się ludzi widzi u „Naszej Pani“. Bardzo to stara świątynia i pięknie zbudowana. Zaczęto ją stawiać w 1163 r., zakończono w 1240 r. Odwiedza ten kościół też dużo bezbożników. Tych jednak więcej zaciekawiają różne zwierzęce głowy na zewnątrz kościoła, jakimi ta wspaniała budowa udekorowana, aniżeli figura Pani. Ze wszystkich kościelnych rzeczy byli gazdowie najbardziej śpiewem zachwyceni.

Chodźmy na ulice w niedzielę po południu. Kto tylko żyw, rusza na miasto. Tramwaje w kierunku Lasku Bulońskiego niesłychanie przepełnione. Wszystkie kina, wielkie restauracje, teatry taksamo, kościoły też nabite. Wszędzie pełno ludzi. Bawi się, jak kto może. Jeden drożej, inny zaś taniej. Są wiecie w Paryżu bardzo tanie zabawy. Na każdym większym placu stoi z 500 ludzi i śpiewa sobie. Byliśmy w pierwszą niedzielę ciekawi, co oni śpiewają? Czy jaka pielgrzymka, wesele? Ani to, ani owo. W takim wielkim mieście żyje niezliczony szereg artystów i artystek i różnych wydziergusów. Otóż w środku tej gromady stało troje ludzi: tego zbudowany mężczyzna z długimi włosami i harfą, mały 12—13 letni chłopak ze skrzypcami i panna, czy też nawet panienka. Miała twarz bladziutką, białe zęby, znośny głosik, poślacane buciki, i, jak mówiła, ślepą matkę w domu. Co to towarzystwo miało za zamiary? Łatwo odgadnąć. Ale trzeba jeszcze wiedzieć, że artysta długowłosa grał na harfie swoje własne piosenki, które sam wymedytował, wyśpiewał. On dał niby nutę, ślepa matka ułożyła treść do nuty, a panienka śpiewała. Odegrali, odśpiewali 3—4 razy, tłum słucha, przyjmuje wrażenia. Przy 5—6 odśpiewaniu już parę służących i żołnierzy nuci za panienką. Artysta z chłopcem gra, panienka kładzie w śpiew wszystkie skarby swojego serca, uczucia, tłum się rozgrzewa. Podobało się im. Śpiewali o głupim zakochanym. Nastąpiła pauza, ale tylko dla panienki. Artyści dalej grali. Ona zaś rozwiązała duży pakunek. Bierze zeszyty i sprzedaje publiczności piosenkę swojej matki i artysty. Sprzedała zaraz 100 zeszytów. I dalej do pracy. Muzyka grała, panienka śpiewała, ale już z tłumem. Z tych stu zeszytów czytało jakich trzysta głów i to wszystko nuciło. Stałem tam 1½ godziny z Wojtkiem. I byłibyśmy może i dłużej słuchali, ale grupa artystów zaczęła na Wojtka rzucać gniewne, piorunujące wzroki. Dużo się bowiem ludzi zgromadziło koło Wojtka, zaczęli się przyglądać fajce, portkom i czapce. Zro-

zumiałem ten gniew. „Chodźmy stąd, Wojtku, bo psujemy interes tym biedakom“. Tak śpiewali do samej ćmy. Mnie jeszcze dzisiaj w uszach huczy. Poszliśmy na inny plac, zobaczyliśmy inną grupę. Same kobiety w dziwnym ubraniu. „Brzydkich kobiet jest u nos dość“ — zauważył Wojtek i poszliśmy dalej.

* * *

Wojtek był często nieszczęśliwy z tego powodu, że się nie mógł z Francuzami rozmówić. Bo trzeba wiedzieć, żeśmy wszędzie agitowali. Nietylko w salonach dyplomatów i polityków, ale i w tramwaju, na ulicy, u golibrody i t. d. Piotr ma poważne usposobienie, nierad napróżno gada. Wojtek ta zaś wesoly góról, świeży, jak pstrąg w Popradzie. Ileż on to razy zaczął na ulicy rozmaitych ludzi. Chodząc w tej wysokiej czarnej czapce i w białym ubraniu, zwracał szczególniejszą uwagę na siebie. Na jednej z bocznych ulic, to się go pewnego razu dzieci tak złąkły, że aż płakać zaczęły. Po tych małych ulicach to całe grupy ludzi oglądały się za Wojtkiem. Najwięcej kobiety. „Musę jo te babska nastrasyć, pon Kapłon“ — zwrócił się raz do mnie. I nauczyłem go te dwa wyrazy po francusku: „Prenez garde, je vous mange“ — „Proszę uważać, bo zjem panią“. — Przechodziliśmy koło jakiejś pralni. Wszystkie praczki na wyścigi, aby nas zbliska widzieć! Wojtek jak zawsze z fajeczką w zębach stanął przed nimi, wziął fajkę do ręki, odpluł po amerykańsku (tj. kończysto), uśmiechnął się do nich i naraz zwyrcał po francusku: „Prenez garde“. Było też krzyku a kwiku! I bielizna i mydło wypadło z rąk praczek. A Wojtek do nich po naszemu: „Ej głupieście tez głupie, moje ślicne, good bay“ — poszliśmy dalej.

* * *

Gdyby sobie gazdowie byli chcieli użyć w Paryżu, zdarzała się niejedna sposobność. Często ich bowiem Francuzi zaczepiali i coś gwałtownie do nich mówili. Nie mogąc się porozumieć, zaczęli niedwuznacznie rękami i głową ukazywać, aby szli z nimi coś wypić do baru (karczmy). Przyznaję się otwarcie, żeśmy sobie w pierwsze dni nie żalowali piwa, bo wiadomo, że Austria porządnie nasze gardła wysuszyła, wcale więc nie było złe małe oblewanie, ale widząc, gazdów na takie figle nie wzięli ani raz. Prosimi ci porządni Francuzi, błagali Wojtkę, aby szedł z nimi, on ani rusz. W Krakowie, Warszawie byście go ta zaś uprosili i w Nowym Targu. Tam zaś za wszystkie skarby świata nie chciał pójść. Dlaczego? Może się obawiał, że go zatrują? Broń Boże! Inna tu była przyczyna! Mówiono nam dużo razy, że w Paryżu roi się od szpiegów. I Wojtek sobie zawsze o tych szpiegach myślał. Bał się pójść do jakiejś tam karczmy z Francuzami, między którymi byłby jakiś Czech i mógłby naszej sprawie zaszkodzić. I nie poszedł ani raz. Dobrze zrobił. Cześć mu za to. A kiedy mi opowiedział, że go Francuzi znowu prosili, albo kiedy to sam widział, to go pocieszył: „Wiecie Wojtku, aby się wam krzywda nie działa, nie wypiliście za francuskie, to wypijcie za nasze franki“. — „Bedzie i tak“.

* * *

Z Anglikami i Amerykanami gazdom się lepiej powodziło na ulicy. Żołnierzy tych dwóch narodów w Paryżu dużo. A wszędzie ich pełno. Miał z kim i Wojtek i Piotr gadać. Bo taka to już natura naszego górala, dla każdego znajdzie słówko! Specjalne zaufanie miał zaś Wojtek do wszystkich „czarnych“, służących w amerykańskiej armii. Codziennie rozmawiał z nimi. „Co wy tyle radzicie z tymi negrami“? zapytałem się Wojtkę. „Trafiółek — wiedzą — na mądrą weredę i fce syćko wiedzieć o Polsce. A godojze

mu tu, kiedy ja som nieduzo wiem. No bo ktoz mnie miot naucyc“?

„Co się wypytywoł“?

„Nowięcej to fce wiedzieć, cy sie ludzie bardzo ciesą, ze juz Polske mają?“ I wiecie, ażem się zdziwił, słysząc, jako ten czarny mojego Wojtka wyobracał. Jako żołnierza najwięcej go zaciekawiało polskie wojsko. Biedny Wojtek zaś o wojsku mało wiedział. I był w wielkim kłopotcie. Czarny neger mu bowiem wygadywał, że takie rzeczy powinien wiedzieć. Nic go nie obchodziło tłumaczenie się Wojtka, że on ze Spisza, z kraju zapomnianego, uciemieżonego. Najbardziej do serca trafiła Wojtkowi energiczna uwaga czarnego o służbie wojskowej.

„Wiedzą pon Kapłon, kiedy wlepiół we mnie tę corną twarz i te dziwne ocy i zaczął godać: śtyry lataście służyli Rusom, Prusom, Austrii i Węgrom na wojnie a teraz sobie nie fcecie służyć? — to ani gdyby mi był nóz do serca wbił i co 56 lat mom, alem sie fciół zaroz do Hallera zapisać“.

Wojtek tego czarnego wspominał często i jeżeli sły-szał kiedy niekiedy żale na rząd albo na urzędy polskie, to zaznaczył „skoda, że tu niema mojego negra, ten by wom powiedział, że pocątek nie moze być nolepsy i ze nie wygadywaniem, ale pracą trzeba w budowie Polski pomagać“. Ciekawa rzecz, że taki czarny Polaka patrijotyzmu uczył.

* * *

Szli sobie raz Piotr z Wojtkiem i spotkali trzech Amerykanów. Tym się wcale nie śpiło, że gazdowie po angielsku mówią i przechodząc koło nich powiedzieli im coś niegrzecznie. W Ameryce podobno nowych przybyszów z Europy tak witają różne wyrostki. To nietylko Wojtka,

ale i myślącego Piotra zgniewało. Nie zostali mu dłużni i krzyknęli za nimi, że mają bardzo kiepskie wychowanie. Wrócili się natychmiast i przeprasali w bardzo serdeczny sposób obu gazdów. Piotr do nich spokojnie: „niech wam Bóg daruje waszą głupotę“.

Żeby nie zapomnieć o naszym kochanym golibro-dzie! Bośmy się golili co drugi dzień, aby wyglądać porządnie. Tu się odbywały wielkie polityczne rozmowy. Był to zakład niebardzo paradny. Najwięcej się tam widziało rzemieślników, robotników i mniejszych sklepników. Byliśmy stałymi gośćmi. Witano nas zawsze, jak swoich. I tu gazdowie bardzo odczuwali brak znajomości języka francuskiego. Czekano się zawsze parę minut, było więc dosyć czasu ciekawym gościom opowiedzieć, co to za jedni w tych białych portkach. Najwięcej tam mówiono o Gdańsku i wojsku Hallera, bo wtedy się wszystkie dzienniki na ten temat rozpisywały. Niemców nienawidzą wszyscy, do nas mają wielką sympatię. Ale mało wiedzą o nas. Pewien Francuz zapytał się mnie, jakim językiem mówią Polacy? Ja ze zdziwienia nie mogłem innej odpowiedzi dać, tylko tę: „A pan jakim językiem mówi?“ — „Przepraszam ja jestem Francuz, co to za pytanie?“ — zwrócił się do mnie. Ja mu zaś: „Ja też bardzo przepraszam, ale jestem znów Polak“. — „Nie rozumiem księdza“. — powiada on. „A rzecz bardzo prosta, Francuz mówi po francusku, a Polak po polsku“. Poczciewicz ten był przekonany, że Polak z Warszawy mówi po rosyjsku, a z Poznania po niemiecku.

Inne zdarzenie. Przychodzą do golibrody nowi goście. Zobaczyli gazdów i zaczęły się wypytywania co za jedni, skąd i po co przyszli. Bardzo nam znane rzeczy. Nasz kochany golibroda już nie czekał na moje objaśnienia. Udzielił ich sam, chcąc dać dowód, że nas już dobrze zna. No i powiada, że to Polacy. A gość krawiec na to: „Polonais, hm, co to za naród?“ Nasz stary mu na to z niemałym oburzeniem odpowiada: „Że się też pan możesz o coś po-

dobnego pytać? Jakże można nie wiedzieć o Polakach?— i kończy tak: „C'est une race des Russes“. (to naród coś w rodzaju Rosjan). Ja na to w śmiech! Wyjaśniłem im, że się stary myli, i dopiero się śmiał krawiec z mądrości golibrody.

* * *

Ej, nadziwiali my się też na sklepy! Nazywają je w Paryżu magazynami. Kraków, albo Warszawa, gdzie ta co od czego! Alem ani w Budapeszcie i Wiedniu czegoś podobnego nie widział. Człowiek aż drgał z zazdrości, że tu ludzie tak mogą wszystko kupować. Buty, sztofy, nici, płótno i t. d. Dużo razy z Wojtkiem szeptaliśmy: gdyby tak można było parę wagonów na Spisz i Orawę zawieść! Ale znów nie bardzo tanie te towary. I gdy się przeliczy franki na korony (8 kor. za franka), to się człowiek ze smutkiem w sercu dowiaduje, że spadł z dziury do jamy. Piotr i ja mieliśmy np. nieznośny katar w pierwszym tygodniu, musieliśmy się zaopatrzyć w należyłą ilość chusteczek, i wiecie: 32 kor. jedna kosztowała. Strach mnie ogarniał na myśl, że się i Wojtek z p. Rouppertem zarażą katarzem! I przyszła i na nich kolej, ale dopiero po naszym wyzdrowieniu. Nie musiałem się więc narażać na nowe wydatki, byłem bowiem kasjerem. Dosyć dobra koszula kosztowała wtedy 12—14 franków. Prawie tę samą cenę mają przykryj nogi. Porządnieśmy się zabawili przy kupnie butów dla Wojtka. Polecono nam tak zwane „buty narodowe“ za 33 franków. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego je ochrzczono narodowemi? Bo więcej zasługują na nazwę międzynarodowych. Chodzę już bowiem w nich nietylko ja, ale i Piotr po całej Polsce, a jeszcze nikt nie raczył tego zauważyć, że się paradzimy w francuskich narodowych butach. W tym magazynie były wyłącznie takie narodowe wyroby. Taka tam wiecie obsługa, że każdemu gościowi pаниenka zdejmuje buty z nogi i wciąga nowe. Kazali więc

Wojtkowi siadać. Przyszła panienska, wzięła mu delikatnie prawą nogę do obu rąk, posadziła ją na swoim kolanie. Wojtek patrzył na chwilę, co się to dzieje. Ale tylko na chwilę. Bo jak się zerwał na nogi i zaczął całym gardłem krzyczeć: „Ani mnie moja baba nigdy nie obuwała, a tu sie taka flajcymyrka opowozy“. I wiecie gniewał się strasznie. W magazynie było sporo ludzi. Wszyscy byli ciekawi, co ten „biały“ cudzoziemiec tak krzyczy? I musieliśmy im wytłumaczyć. Serdeczny śmiech opanował cały sklep.

A widzielibyście magazyny Louvre'u! To całe miasto! Taki sklep, w którym od głowy do pięty wszystko kupicie. W oknach paradne wystawy: zegary, parasole, miotły, kosze, kufry, meble, rozmaite maszyny, wiecie: jest się na co napatrzeć. I są tu moiściewy wystawy z dziećmi, chłopakami, pannami i kobietami. Stoi to albo siedzi okropnie wystrojone w tych oknach na wystawie. I gdyśmy ku temu oddziałowi kobiecemu przyszli, Piotra trochę zgniewały i wymusiły z niego taką oto uwagę. „Pon Kapłon, to te flandry cały dzień tak w oknie stoją, a nic nie robią?“ Tak wiecie doskonale te figury z jakiegoś wosku zlepiłi, żebyście wnet uwierzyli, że są żywe. Po oglądaniu tych magazynów zawsześmy smutni do domu wracali, że u nas nie tak.

* * *

Większą część zdobytych od Niemców armat przywieźli Francuzi do Paryża i postawili je na ulicach. Stoją one na wielkim placu Gwiazdy, na Polach Elizejskich i na Placu Zgody. Jest ich dobrych parę tysięcy przeważnie mniejsze działa, grubasy tylko tu i ówdzie widać. W pierwszych dniach robiło to na nas wielkie wrażenie, ale później nam się ta wystawa niebardzo podobała. Takie Pola Elizejskie to ulica trzykilometrowa, ponad którą niema piękniejszej na świecie. Plac Zgody też prześliczny. Widok tylu armat samorzutnie zwraca uwagę na tysiące, którym wyrok

śmierci gardliska tych właśnie dział zwiastowały. Ile francuskich żon i matek, cała armja sierót, przechodząc po Polach Elizejskich, zsyła zemstę na głowy Niemców. Główny cel tej ciekawej parady był napewno ten. Ale prawda i to, że widok tylu zdobytych armat napełnia dumą serce żołnierza. Czołg (tank) stoi tylko jeden wystawiony, a to na Placu Zgody. Gazdowie ten instrument wojenny z wielką ciekawością oglądali. Wygląda z daleka jak jaki dziwnie zbudowany domek albo wagon. Motoru nie widać. Tu i ówdzie dziura, przez którą małe armaty albo karabiny maszynowe wyglądają. Bardzo niezgrabny i niemiły instrument. Armaty stoją gęsto i są rozumie się już brudne. Na jaki cel Francuzi te niesłychane masy żelaza, miedzi i t. d. obróca, nie wiadomo. Dziś tych armat niemieckich już nie widać po ulicach Paryża. Najwyższy czas, że je sprzątnęli, bo tylko obrzydzały miasto.

Pobyt w hotelu.

Mieszkaliśmy porządnie i stosunkowo nie najdrożej, chociaż wcale nietanio. Hotel nazywał się Belfast. Był to dom na cztery piętra na ulicy Carnota, w dzielnicy tak zwanej Gwiazdy. Wielkiego ruchu na tej ulicy nie było, coś w rodzaju ulicy św. Marka w Krakowie albo Ogrodowej w Nowym Targu. Można było swobodnie po niej spacerować i z jednej strony na drugą przechodzić. Przed hotelem była ławeczka na trotuarze, na której gazdowie dużo przesiadywali. Płaciliśmy za 2 pokoje dziennie 40 franków, t. j. 20 franków za pokój z dwoma łózkami. Gazdowie mieszkali na drugim, my z Rouppertem zaś na trzecim piętrze. Mieszkanie było zaopatrzone we wszelkie wygody: centralne ogrzewanie, lampy elektryczne nad stołem i przy łóżku, fotele, w których się doskonale po obiedzie drzemało i bajeczna umywalnia. Była bowiem ciągle gorąca

i zimna woda i można się było codziennie kąpać — w pokoju. I abym o lustrach nie zapomniał! Tych bowiem było dosyć w hotelu i w całym Paryżu. Gazdowie dlatego dużo razy mówili o Paryżu, jako o mieście luster. Wyszedłeś z pokoju na korytarz, zobaczyłeś się natychmiast w lustrze; wszedłeś na dźwig (w Warszawie go „windą“ przezywają) mogłeś się też oglądać. Idźcie, gdzie chcecie, lustro przy lustrze! Jeszcze i w tym zakątku domu, do którego podobno piorun nie uderza. Tak wicie dbają o czystość i aby ludzie porządnie na ulicę wychodzili. Bo co byś ta był św. Alojzym, to byś nie wytrzymał. Choć na chwileczkę, człowiek szybnał oczami po sobie, czy wszystko w porządku. Właścicielka hotelu była dosyć niestara pani, może nawet i panna. Mówiła dobrze i po angielsku. Z gazdami rozmawiała dużo o konferencji pokojowej. Gdy ich zobaczyła w złym humorze wracających z rozmaitych posłuchań, pocieszała ich, że Rada czterech żadnego narodu niezadowolili. Piotr prowadził z nią dysputy i na temat religji. Wogóle dobrą pamięć u gazdów zostawiła. Pytała się prawie codziennie, czy jesteśmy ze służby zadowoleni. Sama prosiła gazdów, aby jej swoją fotografię zostawili. Dała ją zaraz do paradnej ramki i wywiesiła w biurze. Ten sam los spotkał i mapkę Spisza i Orawy. Ciekawie to wicie wygląda taki hotel w Paryżu! Rzadko się zdarza, aby jakiś Francuz zawitał. Przeważnie cudzoziemcy. Jedliśmy parę razy obiad w restauracji hotelu. Nie była to właściwie restauracja, bo jadali tam tylko goście hotelowi. Gdy się tak człowiek dobrze przysłuchał, mógł łatwo zauważyć, że przy każdym stole inaczej mówią. Była tam i rosyjska rodzina. Uciekli przed bolszewikami. Ze wszystkich lokatorów ci Rosjanie byli nam najsympatyczniejsi, a to z tego jedyne go powodu, że gazdów zawsze pozdrawiali — po polsku. Gazdów wogóle cały hotel kochał. Raz Piotr trochę zachorował. Co też nie miał rozmaitych leków! Wszyscy przynosili! Miłe było to wielkie współczucie. Największym naszym przyja-

ciem w hotelu to był Japończyk. On przynosił gościom do pokoi śniadania i obiady. Między nim a gazdami związało się prawdziwie przyjaźnielstwo. Z tym miał dopiero Piotr kłopot. Japończyk był bowiem niechrześcijańskiej wiary, był buddystą, a Piotr w sprawach religijnych nie mało biegły. Ale wszystkie usiłowania i przekonywania gazdów, speszły na niczem. Japończyk się bowiem jedynie o to starał i gazdom o tem mówił, jako sobie w Paryżu hotel kupi i będzie na własną rękę zarabiał. Z inną służbą hotelu nie żyli gazdowie w tak serdecznych stosunkach. Gniewali się zwłaszcza na Francuza, który nam buty czyścił. Bo gazdom rzadko kiedy oczyścił. A to wyłącznie z tej przyczyny, że gazdowie rano już do kościoła wychodzili, kiedy on wstawał. Jedną z pokojówek namawiali gazdowie, aby wyszła za mąż za Japończyka, ale nic z tego nie było. Kiedyśmy 16 kwietnia opuszczali hotel, cały dom był wzruszony. Tkliwym pożegnaniem nie było końca. Musieli gazdowie pójść i do kuchni, aby im i kucharki uściaskały ręce. Wojtek opowiadał, że odegrały się tam serdeczne sceny. Gazdowie też nie oszczędzali słów uznania za gotowanie czekolady, który to szlachetny napój bardzo pokochali. Żadnych kłopotów w obejściu się z ludźmi albo też w używaniu rozmaitych narzędzi gazdowie nie mieli. Chodząc po Nowym Świecie, poznali prawie wszystkie techniki. Wojtek się tylko za żaden skarb nie dał dźwigiem do góry wywieść. Kiedyś w Ameryce omal tej wygody życiem nie zapłacił i od tego czasu nigdy dźwigiem nie jeździł.

* * *

W Paryżu pełno muzeów. Ukazują światu słynne obrazy, rzeźby, książki i t. d. I wstyd się nam przyznać, żeśmy ani w jednym takim nie byli, ale nie nasza to wina, bo wszystkie pozamykane. Francuzi bowiem wywieźli z Paryża wszystkie pamiątki, kiedy się Niemcy ku miastu

zbliżali. A jeżeli było coś otwarte, nie bardzośmy mogli pójść, bośmy zawsze mieli jakieś posłuchanie albo konferencję. Musieliśmy pilnować naszej sprawy. W jednym muzeum przeciwmy byli; nazywa się: „Musée Grevin“. Sprytnie tam było wszystko urządzone. Byliśmy wiecie i w katakombach i w rowach strzeleckich. Widać tam Nerona i Wilsona. Narobili według fotografii z wosku ludzi, porządnie ubrali i człowiek by się wnet w rozmowę puścił z nimi, tak prawdziwie wyglądają. Jest tam i Wilhelm. Siedzi zamknięty w żelaznej klatce. Skurczony, odziany płaszczem oficera niemieckiego. Postrach dzieci! Z życia Napoleona widać tam całe sceny. Najlepiej do serca i rozumu przemawia jego śmierć na wyspie św. Heleny.

Tak to wszystko dobrze zrobione, że człowiek by się łatwo mógł pomylić, a stojącemu tam Wilsonowi powiedzieć: „Hou do jou do“? Witac tam i główną kwaterę aljantów z r. 1917-go. Katakomby i wypadki wojenne są umieszczone pod ziemią. Wszystkich nas mrowie przechodziło, gdyśmy oglądali prześladowania pierwszych chrześcijan. Jest i „Petar“ król Serbów, uciekający na wózku przed Niemcami. Trza ta wiecie, dużo sprytu, aby z wosku tak dokładnie ulepić tyłu ludzi, a tak wiernie. Bobyście nie zgadli, że je ta nieżywy.

Dziennikarze — Fotografowie — Kina.

Żadnemu z naszych dyplomatów nie zaszkodzę, jeżeli napiszę, że bez pomocy dziennikarzy nie dużo byśmy zrobili. Ciekawe to wiecie stworzenie, taki dziennikarz: wszędzie go pełno. Jest bardzo miły w obcowaniu, grzeczny, a człowiek się go boi. Bo zgniewaj ta tylko kapkę jednego dziennikarza, to ci na drugi dzień w gazetach na pewno nawymyśla. Są też dlatego bardzo przydatni i szkodliwi dziennikarze. Znajomość z tymi ludźmi jest więc zanadto

ważna. Stało się zupełnie przypadkowo, żeśmy się z tymi władcami świata zaraz w pierwsze dni poznali.

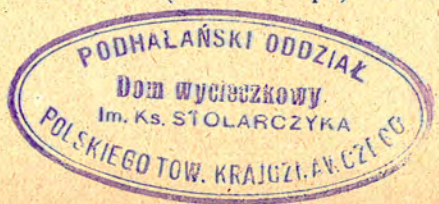
Jedliśmy wieszczę w naszym hotelu (do klubu oficerskiego Hallerczyków zabłądziliśmy dopiero w czwarty dzień). W Paryżu to zaś tak: ile stołów w restauracji, prawie tyle narodowości. Myśmy gadali po naszymu, na prawo od nas po angielsku, trochę dalej po rosyjsku lamenciła jakaś rodzina nad losami wielkiej Rosji. Naprzeciw nas przy małym stoliku siedział jakiś pan. Zakąsał, popijał dobre wino a czytał angielską książkę: „The Poland” — Polska. Zawiadomiłem o tem natychmiast gazdów i cieszyliśmy się, że Anglik o Polsce czyta. Zauważył, że o nim mówimy i patrzył ciągle w naszą stronę. Aż wstał i ruszył wprost ku nam. „Duchu Święty, udziel nam daru wymowy” — szepnął Piotr. Nieznany przyszedł i zapytał się — po polsku, czy my Polacy, że i on Polak z Poznania. „Więc nie Anglik?” — pytaliśmy się z wielkiem rozczarowaniem. Był to Dr. Rydlewski, lekarz z Poznania. Opowiedzieliśmy cel naszej podróży. „To ja was jutro zaprowadzę do źródła propagandy, do p. Marjana Seydy”. I byliśmy na drugi dzień u p. Seydy, szefa biura prasowego w Paryżu (rozumie się polskiego). Człowiek w sile wieku, ruchliwy i co jest zupełnie naturalnem u takiego wyrobionego dziennikarza: o wszystkim wie. Naszych skarg słuchał ze specjalnem zaciekawieniem, bo w słowach górali dały się odczuć takie same męki i prześladowania, które on jako Poznańczyk doskonale znał. „Postaramy się o to, aby się o waszych niesłychanych krzywdach świat przez gazety francuskie, angielskie i amerykańskie dowiedział”. Poznaliśmy w tem biurze jeszcze dwóch panów, którzy nam wielkie usługi oddali, pp. Jarnutowskiego i Brunna; pierwszy Poznańczyk, drugi Lwowianin. Jarnutowski pracował w oddziale angielskiem, Brunn w francuskiem. Ten poznański młodzik, to był dopiero kawał złota. Tak sobie wziął Spisz i Orawę do serca, jak gdyby o sam Poznań szło. Spro-

wadzał swoich angielskich i amerykańskich kolegów do naszych gazdów, albo się gazdowie fatygowali do nich. I to miało wielkie znaczenie. Byliśmy w bardzo szczęśliwym położeniu, bo gazdowie mogli sami wszystko opowiedzieć, nie potrzebowali żadnego tłumacza. A mogli mówić, ile tylko zechcieli. Bo dziennikarz, to nie Wilson, albo Lloyd George. Zapyta się kieniekie coś, a gadu gadu i godzinę. Słucha cierpliwie, a czasem sobie coś poznaczy w notesiku. Gazdowie wychodzili od tych dziennikarzy zawsze zadowoleni.

„Tak się wypytać — mówił Wojtek — to już hej! Jak je mądry, a jak nie zabocy, to Spisz i Orawę będzie długo pamiętał“. I czekaliśmy z ciekawością, kiedy ta te nowiny angielskie i amerykańskie o nas pisać będą. I dosyć się gazdowie rozczarowali, czytając na trzeci czy czwarty dzień w Timesie dosyć krótką notatkę o naszej delegacji i o celu jej przybycia. Wielkiego zaufania do dziennikarzy od tego czasu nie mieli. „Godos im całą godzinę, a tu za trzy minuty przecytos, co naobiecywali“. Dwa razy tośmy byli w kłopotcie. Gazdowie oświadczyli, że do dziennikarzy ani rusz. I tak ta dosyć z góry tym dziennikarzom na pytania odpowiadali. To wrogie ich usposobienie naprawiło francuskie ilustrowane pismo, codzienny „Excelsior“. 3-go kwietnia był w tym dzienniku obszerny artykuł z fotografią gazdów i prof. Roupperta. Warto wiedzieć i na Podhalu, co p. S. Aubac (francuski dziennikarz) o góralach napisał. Pisał ten Francuz tak: „Ci dwaj delegaci ze Spisza i Orawy nie są uczonymi dyplomatami. Są to górale, prości gazdowie, którzy posiadają niewinną ale bardzo stanowczą duszę. Ich spojrzenie jest czemś nadzwyczajnie miłym. Mają postawę atlety z ruchami dziecięcymi. Kochają swoje skalne Podhale, swoje zagony, swoje stada owiec, a ponad wszystko są przywiązani do swojego ubrania, w którym i do Paryża przybyli“. Opisał dalej jak to ubranie wygląda, zachwycając się bez granic, że to takie ładne. Niektórzy z tych dzien-

nikarzy to się więcej wypytywał o ubranie, aniżeli o naszą misję. Zwłaszcza kobiety. Bo trzeba wiedzieć, że między gryzpiórkami, to się i w Paryżu dużo rozmaitych pań widzi. Jedną Amerykankę gazdowie dobrze będą pamiętali. Była dosyć młoda i dosyć zgrabna. Pooglądała obu delegatów dookoła, poopatrzała czapki i serdaki. Wszystko sobie zapisywała. Naraz zwraca się do mnie z ważnym pytaniem: „Dlaczego mają gazdowie jeden czarną, a drugi białą kurtkę?” „Bo, proszę pani — odpowiedziałem jej — Wojtek miał same białe owce i barany, Piotr zaś same czarne“. Trochem za głupio odpowiedział, bo przecież Piotr miał białe portki. Zauważyła to zaraz, że sobie z nią żartuje i obraziła się. Musiałem przeprosić i zapewnić, że więcej w niczem nie skłamię. Zaciągała więc informacje dalej. Słyszała, że to jest strój narodowy, który się okolicami, ba nawet wsiami różni. Zapewniłem ją, że jeżeli kiedyś, gdzieś zobaczy mężczyznę w białych sukiennych portkach, niech go śmiało pozdrowi jako górala ze szerokiego Podhala. U nas — mówiłem — jest dużo rzeczy zmiennych, ale białe portki były i zostaną na zawsze góralskimi. Do takiego stopnia zaciekawiona zaczęła te portki z uwagą oglądać. Prędko się zapytała, dlaczego ma Wojtek czerwonym, a Piotr czarnym sznurkiem obszyte? Tu już nie można było blagować o czerwonych owcach, powiedziałem więc czyściutką prawdę. „Niech się pani popatrzy na pomponiki przy portkach. Jest to rzecz bardzo ważna. Gdyby tu stało przedemną 30 gazdów z 30 wiosek, oglądałbym tylko te pomponiki i każdemu bym zaraz powiedział skąd jest, bo każda wioska ma swoje odrębne pomponiki: czerwone, białe, czarne, zielone, czerwono-zielone i t. d. do najrozmaitszych mieszanin“. Możecie się więc i z tego przekonać, żeśmy zagranicę o wszystkim dokładnie poinformowali.

Bardzo ciekawe zdarzenie mieliśmy w redakcji tygodnika „L'Europe nouvelle“ (Nowa Europa). Redaktor zjawił



się w towarzystwie jakiejś pani (myśmy myśleli, że to żona) i młodzika. Przedstawiamy nasze prawa, krzywdy, a ta pani hip do nas i broni Czechów, a młodzik znówu nas. Redaktor był spryciarz. Chciał i z Polakami i z Czechami żyć w zgodzie. Wojtka to zaś bardzo zgniewało i chciał koniecznie z tą panią dokumentnie porozmawiać. Po angielsku nie umiała ale mówiła po niemiecku (nazywała się Emma Weiss). Wojtek zaś w Spiskiej Białej „sarpnął“ trochę za chłopca po niemiecku. I tak zaczął z nią śwandrekać, że się nam wszystkim zdawało, iż ani sam cesarz Wilhelm na pensji lepiej nie potrafi. Fajkę sobie schował do kieszeni i zaczęła się rozmowa. Ale Czesi złą adwokatkę wysłali, bo się okazało, że wcale nie wie, gdzie, ani co to Spisz i Orawa. Chwaliła się, że widziała Trenczyn i że była w Marcynie. — „Co nas tam Marcin obchodzi? Była pani w Kezmarku“? Oczywiście nie. Na drugi tydzień były w tem piśmie dwa artykuły o nas, jeden na korzyść Czechów, drugi na naszą. Wcaleśmy na tem źle nie wyszli, bo w tym wypadku długie włosy nie zawiodły.

Bardzo nas pocieszył artykuł w dzienniku „*La France*“. Był obszerny i dobrze napisany. Pismo to jest dziennikiem posłów francuskich.

Gazdowie rozmawiali dużo z Amerykanami i Anglikami, którzy do kraju wysłali artykuły o nas. Nie wiemy, czy się naprawdę zjawiły.

* * *

W Paryżu z dziennikarzami bardzo ściśle związani są fotografowie. Pisma tamtejsze są bowiem prawie wszystkie ilustrowane. Widzielibyście naprzykład taki przyjazd Paderewskiego do Paryża. Ledwie wyszedł z wagonu, już koło niego z 30 dziennikarzy a prawie tyle fotografów. Aż to i śmiesznie wygląda. Koło naszych gazdów znów tyle tych panów się nie uganiało, ale było dosyć i tej zabawy. Je-

den drugiego chciał przelicytować. Tak wej fotografowali gazdów z czapką i bez czapki, z fajką w zębach i z fajką w ręce; w cuzce i bez cuzki, z ks. Machayem i bez niego. Na nich się gazdowie tak bardzo nie gniewali. Bo któż z nas niema tej słabości, dać się fotografować? A to jeszcze w Paryżu! Ale fotografii to nam ani jeden nie przysłał. Jedyny p. Jarnatowski nas obdarował. Ej, hycle też to niektóre te fotografie! Na gwałt chcieli, aby się gazdowie dali zdjąć w różnych śmiesznych sytuacjach. I doku czali im dosyć. Zwłaszcza fotografowie do kina. To dopiero obertace! Tylko się zaśmiej, już kręci! Najbardziej zaś fotografowali gazdów — rozgniewanych. Bo nie gniewalibyście się? Jedliśmy obiad. Prosili, aby przyjść — ale natychmiast — pod łuk triumfalny. Sprawa narodowa — więc jazda. Pod łukiem zaczęli pp. fotografowie gazdami rządzić: tak stanąć. tak rękę, tak głowę trzymać i t. d. Aż się obaj zgniewali i robili po swojemu. A te spryciarze właśnie to chcieli osiągnąć. Do kina to nas dużo razy zdjęto. W Paryżu w każdym kinie ukazują aktualności tygodnia. Między te nowości tygodniowe w Paryżu dostała się i nasza delegacja. Ani Piotr, ani Wojtek chętnie nie chodzili na przedstawienia, bo ich oczy bolały od tego, ale oni się ta dosyć wypytywali, czy ich już ukazywali w kinie, czy tam ładnie wyglądają.

Do kina „Gaumont“ na placu Clichy wchodzili gazdowie z dziwną pewnością siebie. Zwłaszcza Wojtkowe zachowanie się dało z jego twarzy odczytać to oto zdanie: to ja jestem, którego dzisiaj podziwiać będziecie. Było w tem kinie 10.000 ludzi. Kiedy się na płótnie ukazał z gen. Hallerem rozmawiający Wojtek, obok niego zaś gęboko zamyślony Piotr, cała sala giełcała od radosnego śmiechu publiczności. „Na środku sali siedzą“, krzyczeli niektórzy. Obraz górali był zabawny. Wojtek coś p. Hallerowi energicznie tłumaczył, Piotr go czasem poprawiał. Ale kiedy się Wojtek zaczął na płótnie śmiać i swoje

„okopcone“ zęby ukazywać, sala się ogromnie rozbawiła. Koło gazdów stało na filmie dużo ludzi, byłem tam i ja z Rouppertem, ale jestem przekonany, że z tych 10.000 zaledwie 10 zauważyło jeszcze kogoś oprócz gazdów! Triumf był wielki! Gazdowie wychodzili z kina rozpromienieni. Było to dla nich formalne narażenie życia na niebezpieczeństwo. Bo cała publiczność chciała zbliżyć bohaterów oglądać. W podobnym ścisku nie życzę nikomu się znajdować. Najbardziej się cisnęły panie i zaczęły znowu już z opisu znane sceny głaskania i ściskania rąk gazdów. Ja powiedziałem wtedy do Roupperta: „Wie pan, drugi raz musimy w portkach i w serdakach do Paryża przyjechać“. Bo ku nam biedakom nikt nie zabłądził. (A wcale nie wiedzieli, że m ksiądz).

Te przedstawienia w kinach — bo we wszystkich ukazywano naszych górali — rozagitowały naszą sprawę w Paryżu do najwyższego stopnia. Bo w kinach ukazali nie tylko gazdów, ale zjawiał się na płótnie i następujący napis: **„Dwaj polscy górale z Orawy i Spisza. Przybyli prosić Konferencję, aby ich ziemie z pod czeskiego jarzma wyswobodzono i przyłączono do Polski“**. Prawdopodobnie przywiozą te filmy i do Polski. Artykuły i fotografie w gazetach i kinach niestłuchanie dużo pomogły. Zaznaczam, że podobne przedstawienia w kinach z gazdami — z takim samym wyjaśnieniem — były i w Anglii i w Ameryce, nie tylko w Paryżu. Świat się przez to dowiedział nie tylko o naszej narodowej biedzie, ale zarazem poznał i lud w jego oryginalnym stroju.

Alma Tadema. — Bass.

Pisząc o dziennikarzach, popełniłbym wielką niedzięczność, gdybym z temi dwoma nazwiskami naszych czytelników bliżej nie zapoznał. Wiążą nas zwłaszcza z pierw-

szem, nader miłe wspomnienia. Alma Tadema, pisarka angielska, wielka przyjaciółka Polski. Zna dobrze Zakopane, po polsku mówi niezłe. Szlachetna ta pani sama nas wzięła, abyśmy ją odwiedzili. Możecie sobie przedstawić, jak bezgraniczną była nasza radość, słysząc ją odzywającą się do nas po polsku. Ze łzami w oczach wysłuchiwała opowiadania gazdów o zakazaniu kazań polskich w kościołach, o prześladowaniu za polskie książki, gazety i odezwy, za każdy ruch polski. Współczuła z nami i przyobiecowała całą swoją pomoc — jako pisarka. Podczas wojny wyszukała ta pani polskie dzieci w Londynie i za swoje pieniądze założyła dla nich polską szkołę. Dała nam na pamiątkę fotografię wśród swoich polskich dzieci. Gazdowie się nie mogli z tą panią pożegnać. Wrócili się kilka razy do pokoju, dziękując jej powtórnie za jej gorące serce ku Polakom.— Nazwisko p. Bassa i jego żony też długo nam będzie w pamięci. P. Bass jest w Paryżu szefem biura prasowego amerykańskiego. Bardzo zdolny literat. On zaprowadził nas do sekretarza stanu Backera i umieścił cenne artykuły w prasie amerykańskiej o naszej sprawie. P. Bassowa podczas wizyty obficie nas karmiła czekoladą. Nie odmawialiśmy wcale. Bo czekolady dawno się nie jadło. Obawiam się teraz, żeśmy u pani Bassowej złą pamięć pozostawili przez to łakomstwo.

Przedstawicielstwo Słowaków.

Na obczyźnie człowiek zawsze się ucieszy, jeżeli spotka kogoś ze swoich znajomych. A jeszcze w Paryżu! Zawszem był ciekawy, kogo też Słowacy mają w Paryżu? Czy też broni kto i ich interesów? Bo biedny to naród. Przez 1000 lat uciskali ich potomkowie Arpada. Wojna oprowadziła przy wielkim ciemńycielu i tego małego. Słowacy w listopadzie 1918 r. mogli mieć wszelkie nadzieje,

że będą żyli jako swobodny naród. Z pod jarzma madziarskiego „wyswobodzili“ Słowaków ich i nasi „bracia“ Czesi. Rozumie się, że nie w walce. Ministrowie czescy znając małą wartość wojska czeskiego, dotąd molestowali a prosili w Paryżu, póki Foch nie wydał rozkazu Madziarom, że Słowacznę muszą bez wystrzału odstąpić Czechom. W Budapeszcie był wtedy rząd hr. Karolyego, który utrzymywał bardzo przyjazne stosunki z koalicją i spełniał każde rozporządzenie francuskie. Tak chcieli coś dla siebie uratować. Opuścili więc i Słowacznę, ale w tej nadziei, że będą za to posłuszeństwo wynagrodzeni. Czesi tedy z wielkim hałasem i paradą obsadzali miasta słowackie. Trąbili w świat o wielkich zwycięstwach oręża z nad Wełtawy. A Słowacy co na to? W radości, że im już żaden Madziar gardła nie ścisła, oszołomieni obietkami czeskimi, zgadzali się na wszystko, co im Praga podyktowała. Nie zapytali się Czesi ani w jednym zakątku przepięknej ziemi słowackiej, kogoby sobie zyczyli na ministrów, na posłów. Zamiast ludu, wybrali ich sami. Do Paryża — bo tu muszę zdążyć — także Czesi wysłali przedstawicieli Słowaków. Między tymi znajdował się i ks. Błaha, znany w niektórych kołach polskich pod nazwiskiem Blcha. Był on swego czasu u hr. Zamoyskiego jako domowy nauczyciel. Po utracie tej niezłej posady był ks. Błaha katechetą w Krakowie, aż w roku 1910. wrócił na Słowacznę do Tyrnawy, aby objąć posadę dyrektora w potężnem stowarzyszeniu św. Wojciecha. Na tem stanowisku poznałem ks. Błachę i ja i Piotr. Z Piotrem spodziewaliśmy się w Paryżu, że ten ksiądz nam w naszej sprawie nawet pomódz może, bo przecież jako młody wikary dobrze poznał nasz polski lud na Spiszu i Orawie. Zaraz w piąty dzień naszego pobytu przybył ks. Błaha do Komitetu i wypytywał się o nasz adres, zawiadamiając nas o swoim. Szukaliśmy się nawzajem przez dzień dni. Jakoś nie mogliśmy się w domu zastać. Spotkaaliśmy się przypadkowo w Komitecie. 2-go kwietnia przy-

był ks. Błaha znów do Komitetu. Przywitaliśmy się w bramie. Gazdów wtedy nie było. Wyglądało to spotkanie dosyć niezłe. Ja, jako wiele młodszy, śpieszyłem na powitanie o 20 lat starszego brata od ołtarza. Chciałem w rozmowie utrzymać swobodny towarzyski ton, ale ks. Błaha, gdyśmy tylko wstąpili do saloniku, przybrał natychmiast minę bardzo poważną i przemówił tak: „Szukam ks. Londzina i was. Przychodzę w imieniu ministerstwa spraw zagranicznych republiki czesko-słowackiej“. Robił na mnie bardzo głupie wrażenie, bom go znał jako człowieka wesołego, którego twarz przy rozmowie zawsze się śmiała, a teraz ani rusz. Oczy wbił w podłogę i zimnym głosem przemawiał dalej tak: „Naród czesko-słowacki(!) — ani gdybyście powiedzieli, naród polsko-ruski — wobec grożącego niebezpieczeństwa germanizmu i bolszewizmu życzy sobie szczerze porozumienia z bratnim narodem polskim“. To samo powtórzył i przed ks. Londzinem, który się wnet zjawił. Na pytanie ks. Londzina, w jakim charakterze przychodzi, oświadczył jeszcze raz, że w imieniu ministra spraw zagranicznych. „Tedy oficjalnie?“ — zapytaliśmy się. „Niby półoficjalnie, ale proszę to uważać za krok do porozumienia i o mojej wizycie p. Dmowskiego zawiadomić“ — brzmiała odpowiedź. Z krótkiej prywatnej rozmowy — śpieszył się bowiem bardzo — poznałem w nim ku mojemu niesłychanemu rozczarowaniu — Słowaka stojącego bezwzględnie na usługach czeskich. Zawiadomiono o wizycie ks. Błahy Komitet, a ja moich gazdów. Żal nam serce ścisnął, że ksiądz — Słowak tak zapomniał o sobie. Czekaliśmy cierpliwie co będzie? Czy się naprawdę odbędzie wspólna konferencja z Czechami? Za parę dni nasi naprawdę zeszli się z p. Beneszem. Na konferencji tej zaproponował p. minister z Pragi granicę Wisły, jako największe ustępstwo. Nas o tej konferencji nie zawiadomiono, ani też słówka o nas nie powiedziano. Pocie-

szali mnie, że nastrój był wyłącznie cieszyński i że przy najbliższej sposobności będzie już mowa o Spiszu i Orawie.

Ale nam żal było i Słowaków. Bośmy dobrze poznali ich biedy i potrzeby na własnej skórze. Nie mają ani jednego prawdziwego rodaka w Paryżu. Tych kilku, co tam siedziało, Czesi przerobili na Czechosłowaków, t. j. na takich Czechów, którzy Słowaków zjedli. Teraz ten sam ks. Błaha jeździł po Spiszu i Orawie i namawiał ludzi, aby taksamo sponiewierali się jak on: aby głosując za Czechami wyrzekli się swojej polskości.

Niespodzianka.

A teraz wam na zmianę opiszę, największy figiel podczas naszego pobytu w Paryżu. Byliśmy tam już dwa tygodnie i przychodzi raz do mnie pewien pan z Komitetu z taką oto nowością: „Mam dla księdza niedobłą wiadomość“ — „No, no, co takiego?“ — pytam się. „Czesi — powiada dalej — przywieźli trzech górali ze Spisza i Orawy“. Była to dla mnie naprawdę wielka niespodzianka. Nie chciałem wierzyć, ale kiedy mi zaczął opowiadać, że mają ci trzy białe portki, cuzecki i góralskie kapelusze, dałem się przekonać. Poleciałem zaraz do gazdów z wielką nowiną. „To wcale niezłe. Bo prowda przy nos, to nom tylko na pomoc będą.“ — cieszył się Wojtek. I już zaczęli obaj z Piotrem medytować o rozmowie z tymi trzema przed Wilsonem. Zadecydowaliśmy więc tak, że wszelkimi środkami musimy dążyć do tego, aby się z nimi gdzieś spotkać. Rozłożyliśmy na nich wielką sieć — szpiegów. Strześliśmy zwłaszcza Komitet czeski na ulicy Bonapartego i hotele Lutetia i Hotel de Orleans, gdzie najwięcej Czechów mieszkało. W akcji brałem i ja udział. Przeszły dwa dni bez najmniejszego rezultatu. W trzeci dzień, gdy chodziłem koło biur czeskich, spostrzegł mnie jakiś Pepik i jazda do mnie.

Kiedys tu, to cię bez niczego nie puszcze — pomyślałem sobie. Na początku się nam dosyć chłodno rozmawiało. Był to jakiś pisarz. Chodziliśmy z góry na dół nudząc jeden drugiego. Udało mi się zboczyć na Boulevard St. Germain. Była pora popołudniowa. Zaproponowałem pójść do kawiarni na czekoladę. Zgodził się. Po czekoladzie napił się piwa i trochę się nam języczki rozwiązały. Ja zacząłem kazanie o braterstwie polsko-czeskim, o tej głębokiej przyjaźni, która nas w przyszłości wiązać musi. Tłumaczyłem mu na wszystkie strony niesłychane korzyści dla obu narodów tego przyszłego sojuszu. Trochę w odmiennej formie mówił to samo i on. Aż zapędziliśmy się do Cieszyna i na Spisz i Orawę. Tu się mój przyjaciel skrzywił. Co do Cieszyna był twardy, o naszych zaś kresach prawie nic nie wiedział. Rozumie się mojego nazwiska nie zdradziłem. Zacząłem się go bardzo ostrożnie pytać o rozmaite nazwiska. Pełniłem bowiem obowiązki kapelana w dwóch czeskich pułkach i dwóch szpitalach podczas wojny. Przy popijaniu wyrzekliśmy się zupełnie wszelkiej polityki. On wygadywał na Kramarza, ja zaś niby na Dmowskiego. Widząc, że zmiękł, prosiłem go nareszcie o dokładne poinformowanie, kto bawi w Paryżu ze strony Słowaków. Znał wszystkich, ja także. Ani śladu o jakichś tam góralach. Pożegnaliśmy się, obiecując sobie uroczyście, że się jutro na tem samym miejscu spotkamy. I przyszedł. Siedliśmy przy tym samym stole. Ani jacy starzy przyjaciele! „No, dostojny Panie, — zaczął do mnie — abyście się mogli dowiedzieć, czy tu niema kogoś z waszych przyjaciół z wojny, przyniosłem wam listę przebywających w Paryżu Czechów i Słowaków od marca b. r. Byłem zupełnie zmieszany z radości — no i jego głupoty. Czytam: Dr. Emmanuel Waclauer, mieszka w hotelu Lutetia, Rudolf Kurzela, hotel d'Orleans, ulica St. Jacob, Jan Zilka, Gustaw Hamberger, Richard Storch, Marja Stoupawy, Waclaw Cerny, Karol Červinka, Aleksander Kolovrat i t. d.

Mam ten drogocenny dokument. W każdej chwili go może każdy Czech oglądać. Pożegnałem się z moim przyjacielem bardzo serdecznie. Leciąłem do domu. Gazdowie zauważyli, że jakaś dobra nowina. Położyliśmy papier na stół i odczytywał każdy kilka razy. Wiedziałem, że z Orawy niema na tym papierze nikogo, ale co do Spisza nie byłem pewien. Niepokoiły mnie te niemieckie nazwiska. Bo w okolicy Kiezmarku dosyć Niemców. Ale Wojtek z Magury zna doszczętnie wszystkie miasta. Nie znalazł na liście ani jednego Spiszaka.

„Na tę radość, chyba sobie wypijemy, prowda Wojtek?” I tak zrobiliśmy. W parę dni potem rozmawiałem z tym panem, który miał widzieć tych trzech górali. Widział on naprawdę jakichś górali, ale byli to Słowacy z okolicy Nitry.

Wśród swoich.

A teraz kilka słów o naszej najmiłszej znajomości w Paryżu. Pierwsze dni jadalśmy w hotelu. Zdawało się nam to trochę drogo. Wypytywaliśmy się więc o tanie jedzenie. I zaprowadzili nas do tak zwanego klubu oficerskiego. Chmura oficerów z armii Hallera. Ci nas to dopiero uściskali. Znalazł się między nimi i góral, Dr. Gut z Poronina. Nadmiar radości! Poufnieśmy się zaraz zapytali, czy też tu bywa i gen. Haller? „Bywa bardzo często” — brzmiała odpowiedź. — „To już dobrze” — powiedział Wojtek. W klubie jadło koło 100 oficerów, ale chętnie przypuścili ku swoim stołom i cywilów. Jadało nas tam najmniej 20. Bo powiadają, że ani w Paryżu nie narobisz z owsa ryżu. Tak samo ani w Paryżu nie narobisz dużo franków z koron austriackich, bo aż 8 trzeba dać za jednego franka. Nie można było więc rozrzucać tych drogich franków. W klubie zaś dali stosunkowo bardzo tanio

jeść, bo za 4 franki obiad, a znowu za 4 wieczerzę. A dali dosyć. Nigdyśmy głodni nie odeszli. Piwa, wina było też dosyć, ale to już osobno trzeba było płacić. Tuśmy mieli największe pokusy, zwłaszcza Wojtek i ja, bo Piotr tylko patrzył, jak nam smakowało. Ślubował kiedyś i dotrzymał. My zaś z Wojtkiem trzymaliśmy się w Paryżu tej nuty: „Pijali, pijali ci nasi ojcowie, napijmy się i my, bo my ich synowie“.

Ale znów nie bardzo dużo. Nogi się nam w Paryżu nigdy nie koślawiły! Broń Boże, to już nie. Musicie nas za to wszyscy pochwalić, bo wedle zdania Wojtka piwo paryskie było „lepsze jak słodkie mleko“. I siedzimy sobie z Gutem przy stole (w pierwszy dzień w klubie, 21-go marca) chwalimy sobie chleb, no i piwo, i naraz ci wszystko stanie, ani gdybyś wystrzelił! — „Generał Haller przyszedł!“ — powiada Gut z Poronina. Był już po wieczerzy a przybył tylko pogawędzić ze swoimi oficerami. Będąc po jedzeniu, nie wchodził do jadalni, lecz został w salonie. Wojtek z Gutem o zbójnikach rozmawiali i mieli zamiar struny posmarować nową butelką piwa, jednakowoż na wniosek Piotra odstąpiono od tego zamiaru sądząc, że przed gen. Hallerem należy się być ze zupełnie zdrową głową.

Zakończyliśmy trochę prędzej naszą wieczerzę i posunęliśmy się do sąsiedniego salonu, gdzie gen. Haller ze swoimi rozmawiał. Pierwszego zauważył Haller Wojtka, który był cały biało ubrany. Generał natychmiast wstał i przywitał się z nami. Niecierpliwieśmy czekali, czy się zapyta o sytuacji wojskowej na Spiszu i Orawie. I zapytał się. Aleśmy też skorzystali ze sposobności! Gazdowie przed nikim nie potrafili swoich serc tak otworzyć, jak przed Hallerem. A pan generał słuchał i wypytywał się dalej. Myśmy z Rouppertem miękli od radości. Bo gospodarze o niczem nie zapomnieli. „Nie jacy my — mówił Wojtek — nie jacy nas język, ale i nase kościoły a zbudowanie

nasych miast spiskich głośno krzycy i prosi: **Śpis i Orawa — to Polska**“. — „A znowu nie jest prawdą — jako to ks. Machay dużo razy opowiada — że Śpis i Orawa to takie bardzo ubogie kraje. To prawda, że na nasych ziemiach winogrona ani cytryny nie rosną, **ale mamy inne bogactwa, mianowicie w lasach**“ — poprawił Wojtka Piotr. „A gdybyśmy to pachnące smrekowe powietrze sprzedawali? Bo to też majątek dla Polski“. Pan generał uśmiechał się do gazdów a słuchał ich szczerego opowiadania, tę gorącą, szczerą spowiedź ich czystej duszy polskiej! Zrozumiał ich, bo ich niedwuznacznie pocieszył: „Nie damy Was“. Generał usiadł z gazdami na kaniapce i rozmowa szła dalej. Był to dla nas wieczorek szczęścia. Gazdowie rozpromienieni mówili: „Wiedzom co, w tej Polsce, panowie zupełnie inisi. Cyby to jaki Madziar albo teraz te Cechy — z człowiekiem tak po swojemu porozmawiały? Telo wykrzykujom na polskich panów, a tu przecie wszędzie brat z bratem, brat za bratem“. Z zadowoleniem opowiadali, że się widzieli z Paderewskim, z Dmowskim, z Hallerem, ze wszystkimi wielkimi Polakami, tylko z Piłsudskim nie, bo wtedy chorował, kiedyśmy we Warszawie byli, nie mógł nas więc przyjąć; a kiedyśmy wracali z Paryża, Komendant bawił na Litwie.

Syn wieszca.

Ani byście nie zgadli z kim widzieliśmy się w Paryżu! Było to dla nas jedno z najmiłszych spotkań w mieście luster! Pan Władysław Zamoyski zaprowadził nas do syna wielkiego poety Adama Mickiewicza. Ciekawa rzecz, jak wielkie wrażenie na nas wywarł widok „pana Władysława“. Siwiutki prawie 80-letni starzec. Przyjął nas w swojej pracowni. Nad czem też taki staruszek jeszcze pracuje, zapytacie się wszyscy? Bo pracuje. Jest w Paryżu w tym samym domu, gdzie hr. Zamoyski mieszka, na trzecim piętrze Muzeum

Mickiewicza. W tem muzeum wysiaduje pan Władysław i sporządza książki, pisma, fotografie i inne drogie pamiątki po swym wielkim ojcu. „Wiera mi hań za praca“ — powie ktoś. A jest jej tam widzieć niemało, bo pan Władysław nawet pomocnika w tem muzeum trzyma. A potem pomyślcie sobie: w tej chwili w Paryżu Polaków niemało. Jedni odchodzą a drudzy przychodzą, ale kolonia polska zawsze liczy kilkaset osób. A któżby nie poszedł z odwiedzinami do pana Mickiewicza? Każdy Polak zapuka do drzwi potomka ukochanego wieszczca. Byliśmy więc i my. Jak on nas serdecznie przywitał! I wodził po wszystkich salach muzeum. Piotr zaraz zdradził, że zna doskonale poemat „Dziady“. „Więc i tam na tych zapomnianych przez nas kresach zna lud mojego ojca?“ — pytał się ze zdziwieniem i radością. „A cóż my może niegodni cytać wiersze największego Polaka?“ — zapytał się z uśmiechem Piotr. Pan Władysław nas bardzo mile przyjął. Wyjaśnił każdy kawałek papieru, fotografie, pierścienie, szable i t. d. Chodziliśmy po salach cicho — na palcach, jako w kościele, idąc za panem Władysławem jak za księdzem. Bo nastrój był taki. Ze łzami w oczach głęboko wzruszeni opuściliśmy to muzeum. Pan Władysław kocha namiętnie pamiątki po ojcu, pilnuje jak oka w głowie. Włosy, brodę nosi tak, jak to na fotografiach widać u wieszczca. Pytaliśmy się go, kiedy wróci do kraju. Nie dał odpowiedzi. Trzymają go tam książki i rękopisy ojca. Podobno robią starania, aby to całe muzeum do kraju przeprowadzić. Tylko czem prędzej. Bo dla czegoż mamy na otuchę, na pokrzepienie duchowe tak daleko pielgrzymować?

Dom żołnierza polskiego.

Jest i taki dom w Paryżu. Poszliśmy i tam z gazdami. Na nieszczęście był trochę daleko od nas, na samym kraju miasta. Proszę sobie nic wielkiego nie myśleć. Niema

tam na bramie ani tablicy z wielkim napisem, ani żadnych paradnych urządzeń. W domu bardzo ładnym, w jakiejś willi, wynajął Komitet na parterze parę pokoi, w których umieścił uchodźców. Widzieliśmy tam całe rodziny, starych ludzi i żołnierzy przychodzących ciągle z niemieckiego frontu. Wiadomo, że Niemcy wywieźli grube tysiące ludzi z Królestwa na roboty do Niemiec. Po klęsce listopadowej i przyjęciu warunków zawieszenia broni, Niemcy musieli opuścić pewną część ziem aż do Renu. Na tych urodzajnych ziemiach pracowało dużo Polaków. Przyszli Amerykanie i Francuzi — Polacy, kto tylko mógł, zmykał do Francji, aby się z pomocą Komitetu do domu dostać, chłopcy zaś wstąpili do wojska Hallera. Kobiety pracowały w pralni polskiej. Myśmy też tam dali bieliznę wyprać. Biedne kobiety, jak one tęskniły za krajem! Po francusku mało umiały. Bo nie miały czasu się uczyć. Niektóre poszły na służbę do rodzin francusko-polskich. W Domu leżeli i chorzy, lepiej mówiąc wydręczeni, bo dla chorych tam nie było wystarczającej opieki, ani miejsca wygodnego. Lekarz zaglądał dwa razy w tygodniu. Żołnierze tam nie bawili długo, po załatwieniu meldowania jechali do obozu. Stali mieszkańcy Domu nie zażyli dużo radości. Wiele razy jedynie śpiew praczek przypominał im, że mają Polaków około siebie. Doma najlepiej... To stara prawda.

Przed wyjazdem.

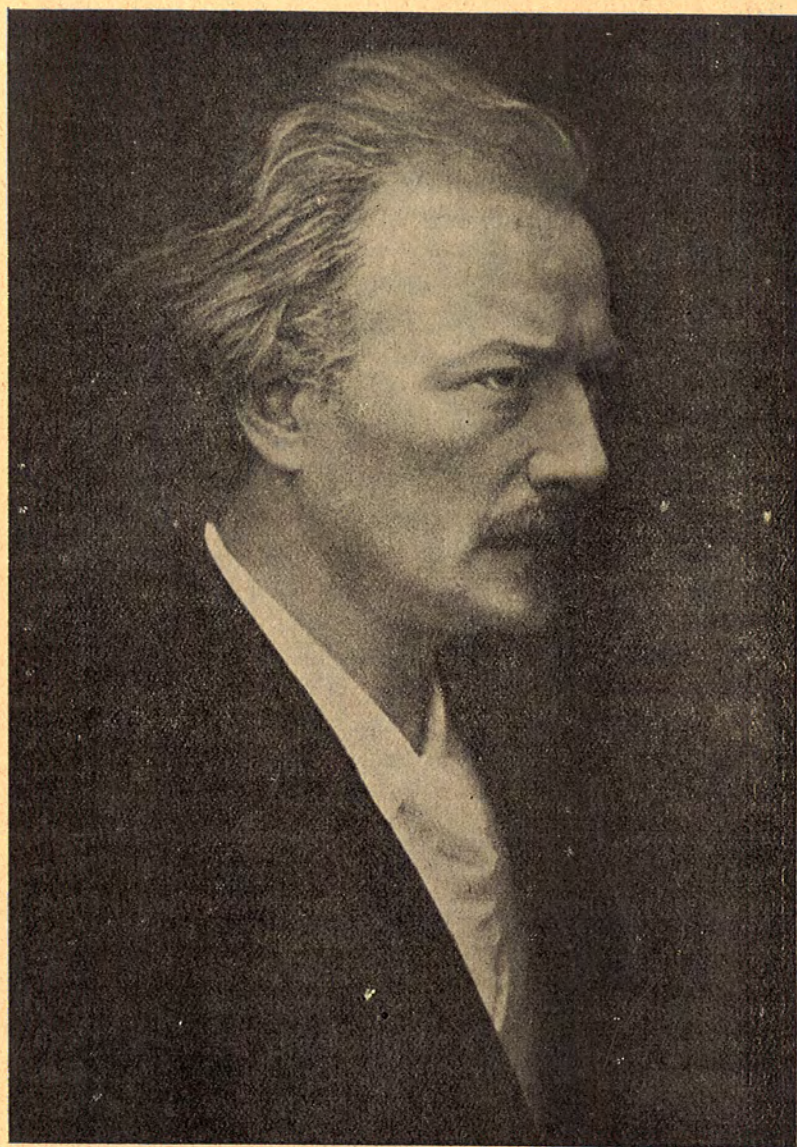
Takby się każdemu zdawało, że człowiek może wyjechać z Paryża, kiedy się mu spodoba. Tak nas zapewnili i w Warszawie przed wyjazdem, że do domu będziemy mogli wrócić, kiedy zechcemy. Jechaliśmy do Paryża z wielkimi nadziejami. Nadzieje wzrastały po niektórych pomyslnych posłuchaniach. Widzieliśmy się z Wisonem, Paderewski nas zapewnił, że będzie o nas starannie dbał, za-

decydowaliśmy więc wracać do kraju. Bo się gazdom w trzecim i czwartym tygodniu już okropnie nudziło. Zauważyli bowiem, że się w Paryżu nikomu nie spieszy, ani też nikogo głowa nie boli o Spisz i Orawę. A Wojtek święcie wierzył, że ta nasza wycieczka będzie miała rychłe skutki! Jeszcze mi we Warszawie mówił, że z Paryża napisze list do syna i córki w Ameryce. Siedzieliśmy już dwa tygodnie w Paryżu, więc pytam się Wojtkę: „Pisaliście do Ameryki?“ — „Nie pisałem jeszcze“. — „A to z jakiej przyczyny?“ — pytałem się dalej. „Bo wiedzą, chcieli napisać synowi, po co jo do Paryża przyszedł, że my syćko załatwili, jako lud chce. Na to cekom“. I nie pisał jeszcze cały tydzień. Dużo się spodziewał od Wilsona. Piotr tak samo. Śniliśmy o jakimś telegramie, który Wilson zaraz wyśle Czechom po naszym wystuchaniu, aby się natychmiast z tych czysto polskich ziem wynieśli. Rozumie się nic podobnego nie nastąpiło. Gazdowie — razem z nami — zgniewali się na całą konferencję i parli całą siłą do wyjazdu. Poszedłem do Komitetu. Tam na ścianie wisi grube ogłoszenie, według którego każdy zamierzający wracać do kraju ma się na osiem dni przedtem zgłosić w biurze. Nie będę ani sobie ani czytelnikom humoru psuł opisywaniem tej ciernistej drogi w błaganiu (bom aż błagać musiał!) o bilety do pociągu dyplomatycznego. Wysyłano nas zwyczajnym pociągiem. Mało brakowało, żeśmy się na to nie zdecydowali. Postaraliśmy się już i o czeskie wize dyplomatyczne. Bardzo ciekawe te pieczętki i zapewnienia braci Czechów. „Ważne pięć dni“ — straszyla ta pieczęć. Toby nas było prościutko do jakiej czeskiej kozy zaprowadziło. Zwyczajnym pociągiem, bylibyśmy do Czech za pięć dni nie dojechali. Przy wkraczaniu w granice państwa czesko-słowackiego byłby nas każdy żandarm czeski najspokojniej złapał. Tłomaczyłem to dosyć wyraźnie panom we wydziale Komunikacji Komitetu, że żaden z nas niema zamiaru wpaść tak łatwo w ręce Czechów, prosiłem ponownie

o miejsca w pociągu bezpiecznym, nie chcieli nas zrozumieć. I gdyby nie Haller, kto wie jak długo bylibyśmy czekali na wyjazd. Dowiedziawszy się z ust Wojtka, że nam „rety“ do domu, a Komitet dopiero za trzy tygodnie obiecuje bilety, natychmiast zaproponował, abyśmy z nim pojechali. Można sobie przedstawić, jak wielką była radość nasza! 15-go kwietnia miał nastąpić odjazd z Paryża. Zaznaczyć muszę, że przy załatwianiu niektórych formalności odjazdu nieporównanie większą grzeczność spotkał w sztabie gen. Hallera, aniżeli u niektórych młodych panów w Komitecie, do których się niesłychanie trudno było dostać. Dzień 15-go wypadł na Wielką środę. Serce się nam krajało na myśl, że Święta Wielkanocne będziemy napewno w koleji spędzali, aleśmy z największą wdzięcznością skorzystali ze zaproszenia gen. Hallera. W poniedziałek zaczęliśmy myśleć, co komu na pamiątkę wziąć do domu. — „Wagon tabaku niech kupią“ — radził mi Wojtek. Niezła rada, boby sobie gazdowie byli przynajmniej raz zadymili. Nawet i miejsce by się znalazło dla takiej ilości w pociągu, ale gdzie go kupić? Bo w Paryżu też nienajlepiej z tytoniem. Zacząłem się kręcić około żołnierzy, aby coś urwać. Zdołałem coś nagromadzić amerykańskiego tytoniu. Mniejszą troskę miałem z córeczkami Wojtkowemi, z braćmi Piotra i naszymi znajomymi. Można było kupić różnych rzeczy, jakich u nas brak albo są bardzo złe. Dla jednego z moich przyjaciół np. zapakowałem parę butelek piwa (według Wojtka „lepsze jak słodkie mleko“) i butelkę koniaku, które jednak z przyczyn odemnie niezależnych na miejsce przeznaczenia nie doszły. Dla panien i kobiet kupiło się parę kilo czekolady. Pamiętaliśmy i o sobie i o was wszystkich kochani czytelnicy. Bośmy i dla was przynieśli dużo — wrażeń, które teraz czytacie. Marzyliśmy dosyć często o cudownem miejscu Lourdes. Myśmy wogóle krótko chcieli załatwić wszelkie dyplomacje, Spisz i Orawę przywrócić Polsce a potem się wybrać do Matki Boskiej na podróż

dziękczynną. I dziś nam żal, żeśmy w tem świętem mieście nie byli, siedząc w Paryżu cały miesiąc. Ale się trudno było wybrać, bośmy się obawiali, że w tym czasie mogłoby coś ważnego nastąpić, żebyśmy mogli jakieś bardzo ważne posłuchanie ominąć, siedzieliśmy więc spokojnie. Zawszeby się znalazł człowiek, któryby nam zarzucił, że zamiast pilnować sprawy, jeździliśmy na pielgrzymki. To nas zatrzymało. Po posłuchaniu u Wilsona robiłem już nawet starania w tym kierunku. Pomyślcie sobie aż siedem fotografii trzeba było dać Francuzom, aby nam paszport do Lourdes! napisali! Dużo razy myślę na co im też były? Nie było to ta inaczej, tylko tak, że panowie w prefekturze i policji dla siebie i swoich znajomych zażądali! Wojtek przynajmniej tak tę zawiłą sprawę rozwiązał: „Niech mają, niech wiedzą, że górale byli w Paryżu“. Czesi pod tym względem nie byli tak bardzo łakomi, bo zażądali tylko dwu fotografii. A myśmy byli tacy głupi, żeśmy im je dali. „Wojokom, co w Jurgowie stoją, pošlą te fotografie i zaraz mnie poznają“ — dowcipkował Wojtek.

Z p. Paderewskim pożegnali się gazdowie w poniedziałek 13-go kwietnia. Z Dmowskim przed wyjazdem nie mogliśmy się widzieć, tak bardzo był zajęty. Przy tych wizytach pożegnalnych Wojtek specjalnie pamiętał o tych panach, którzy mu kiedyś tytoń obiecali. Żegnaliśmy się ze wszystkimi znajomymi. Golibroda, który był niezmiernie dumny, że do jego zakładu chodziliśmy, nie mógł się z gazetami rozstać. Piotr się pożegnał ze swoimi kolegami kościelnymi w parafji św. Ferdynanda. Podaliśmy rękę i przepkę, która nam pomarańcze sprzedawała. O gazeciarczach też nie zapomnieliśmy. Wojtek w swojej grzeczności tak daleko zaszedł, że w pewnej kawiarni — gdzie na czekoladę wstąpiliśmy — wszystkim gościom i kelnerom rękę podała mówiąc do wszystkich „Good bay“. Pod tym względem nikt do nas żalu nie mógł mieć. Portjer w hotelu na ulicy



PREZYDENT I. J. PADEREWSKI.

Balzaca, gdzieśmy często bywali, ze łzami w oczach zegnął gazdów — a nigdy z nimi nie rozmawiał!

Powrót z Paryża z generałem Hallerem.

Wielka środa. Pociąg gen. Hallera odjeżdżał z dworca, Gare de la Villette. Ponieważ był to dworzec towarowy, szofer, który nas odwoził, nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie zawieść. Błądziliśmy długo po mieście nim automobil na miejsce zajechał. Jechaliśmy właściwie dwoma samochodami. Tyłeśmy bowiem mieli pakunków, żeśmy się w jednym nie zmieścili. Jadąc na kolej oglądaliśmy zupełnie obojętnie mury Paryża. Wcale nam żal nie było, że to „miasto luster“ opuszczamy. Dziwna rzecz, jak to człowiek tęskni za domem! Z wielkim trudem, po długich wypytywaniach auto dojechało na miejsce przeznaczenia. Szoferzy się niemało wstydzili swej nieznamomości miasta. Gazdowie im bowiem bardzo dokuczali. Zwłaszcza Wojtek patrzył co chwilę na zegarek a bał się, że się spóźnimy. To była wogóle jego choroba. W Poznaniu i w Warszawie taksamo mnie godzinami przed wyjazdem napominał, abyśmy się nie spóźnili. Pociąg Hallera miał odjechać o 17-ej, to jest o 5-ej popołudniu, więc kazali nam być na dworcu o 15-ej. Ani mnie, ani dr. Rouppertowi się nie śniło, że pp. szoferzy nie będą wiedzieć, dokąd mamy jechać. Godzina 15-ta już porządnie minęła a myśmy tylko błądzili po mieście. Wstrętna to była droga, bo samochód co chwila stawał, pytając policjantów o drogę.

Ludzi na dworcu było dużo, Polaków i Francuzów, no i rozumie się fotografów. Było ich ze dwa mądle. Hallera jeszcze nie było na dworcu, kiedyśmy zajechali. Trzech francuskich generałów spacerowało przed pociągiem. Nas wsadzili w bardzo porządny wóz. Wcale nam nie było ciasno, bo nam do całego wagonu dali tylko jednego gościa. Komendantem pociągu był major francuski. Kiedy Haller



GENERAL HALLER.

przybył na dworzec, zaroilo się jeszcze bardziej od ludzi. Tyle bowiem przez długi czas francuskie gazety o Hallerze i jego wojsku pisały, że wątpię, żeby się był znalazł w Paryżu człowiek, któryby nie był ciekaw, jak też ten polski wódz wygląda. W kinach go mogli dosyć oglądać, ale to nie wystarczy, aż mi go nareszcie żal było! Bo co chwileczka, inny a inny fotograf stanął przed nim i już łaskotał maszyną. Co to za natrętne towarzystwo ci fotografowie; a omal się nie pobili! Bo każdy inną firmę przedstawia, każdyby chciał dobrze zarobić. Wtedy to prof. Rouppert zaagitował jeszcze raz za Spiszem i Orawą. Wyprowadził na gwałt i Wojtka i Piotra z wagonu. Soczewka aparatu zaraz się ku nim skierowała. Największa część już znała naszych gazdów, fotografowali ich już w czasie przyjazdu.

Przychodziła chwila odjazdu. Rozmaite delegacje wręczały kwiaty Hallerowi. Polacy paryscy prawie wszyscy przybyli na pożegnanie kochanego generała. Brakło tylko „pierwszych“ z Komitetu. Wielkie zajęcia w obronie Ojczyzny nie pozwoliły im spełnić tego miłego obowiązku. Wcale pokazna była grupa Francuzów, zwłaszcza oficerów, między żegnającymi. Po 17-ej pociąg ruszył. „Vive la Pologne!“ „Niech żyje generał Haller!“ — brzmiało ze wszystkich stron. Fotografowie jeszcze raz się uwijali! Zdjęli i naszych gazdów wyglądających z okien.

Więc jazda nareszcie! Jacyśmy byli szczęśliwi! Chociaż znowu nie tak bardzo, bo się nam znowu prędyutko przypomniało: Czesi nas teraz nie puszczą do domu! To wiercilo gazdom w głowie. „Poco im było fotografie dawać i paszporty u nich podpisywać, kiedy to dla nas niepotrzebne“ — lamentował Wojtek. — „Co wos ta o to głowa boli w Paryżu, niechojcie to na ten cas, kie staniecie na granicy spiskiej“ — cieszył go Piotr. I niedługo trwały te lamenty, bośmy pomału opuścili Paryż i jego przedmieścia, gazdowie się więc zaciekawili, jak to wieś francuska wygląda. Czy ładne urodzaje? Czy dużo pszenicy, żyta i—

wina. Tak wiecie było chłodno w czasie naszego pobytu we Francji, żeśmy się dużo po tej ziemi nie spodziewali. A tu ledwieśmy wyjechali za miasto, co za ogrody przed nami. Była w nich i sałata i rzodkiewka. Zimowiny bardzo ładne. Człowiek z kolei niemoże dobrze osądzić, ale wioskami francuskimi nie jesteśmy zachwyceni. Mają coś wspólnego z włoskimi, zwłaszcza w budownictwie. Prawie te same domy, murowane na piętro widać i na polach Francji i Wenecji. Tylko w rozmieszczeniu wielka różnica. Francuskie wioski są przeważnie w kupie, we Włoszech zaś w prowincji Wenecji domy roztrzęsione przy drodze, a nawet i po polu. Czystości wielkiej nie zauważyliśmy. Gnojówki dosyć brudno utrzymane, na podwórzu też najlepiej, ale polski gospodarz coś zawsze może się nauczyć od zachodu.

Pociąg jechał bardzo pomału, aż nas to i gniewało. Prawda, było dużo wagonów naczepionych! Bo sobie znowu nie myślcie, że pociąg gen. Hallera, to fik — mik i już będzie w Warszawie. Jechał z szybkością pociągów ciężarowych. Bo też i więcej wyglądał na ciężarowy. Był wóz sypialny, restauracyjny, kilka osobowych, a ostatnich kilkadziesiąt — ciężarowych. Bo oprócz sztabu Hallera, wiozło się z nami wszystko co do sztabu należało, a więc: samochody, konie, kancelarje, pisarki francuskie (był ich cały wagon), żywność, itd. A na to tylko jeden parowóz. Już my i kłęli, że Haller takim dziadowskim pociągiem wraca. Bo i prawda. Mogli się Francuzi lepiej pochłócić! Ale nie trzeba wygadywać, by nam znowu źle nie było. Na stacji Mirecourt wsiadło do pociągu 50 Hallerczyków z jednym porucznikiem. Była to nasza straż na czas podróży w Niemczech. Porucznika przydzielono do naszego wagonu, było nas więc sześciu już do samej Warszawy. Same wybrane chłopcy, ubrani po frontowemu. Pocięcha na nich patrzeć.

Z francuskich miast, przez które przejeżdżaliśmy, nie widzieliśmy dużo, bośmy jechali nocną porą. Jedyne żywo nam w pamięci zostały piękne wieże na kościołach w mieście Toul. Opuszczaliśmy pomału starą Francję, zbliżając się z wielkiem zaciekawieniem ku Alzacji. Zaraz można było spostrzec, dokąd sięgały dawne granice państwa niemieckiego. Na dworcach kolejowych, taksamo jak to widzieliśmy w Poznaniu, wszędzie niemieckie napisy, na ścianach murów wielkie malowane: „Restauration“, „Fabrik“ i t. d. Francuzi też nie zdążyli tak prędko zniszczyć śladów najazdu niemieckiego. Mieli widocznie ważniejsze sprawy do załatwienia. Gniewałem się też wtedy niemało na naszych zaściankowych patryotów, którzy Poznańskie posądzały o lenistwo w usuwaniu „pamiątek“ niemieckich. Przypomniały się nam w Alzacji i nasze losy. Jechał kto przez Spisz albo Orawę, mógł widzieć również madziarskie napisy na kolejach, na sklepach i w urzędach. Wielka zazdrość opanowała nasze serca, że ci Francuzi, którzy cierpieli pod jarzmem niemieckim 50 lat, mają już wolność i żaden Prusak im więcej nie przeszkadza, aby się po francusku modlili, francuskie gazety i książki czytali. Z naszej ziemi Madziarów wypędzono, ale na ich miejsce przyszedł nowy wróg naszej polskości: chytry Czech. Te wspomnienia dosyć nam popsęły nastrój. A był to ku temu jeszcze Wielki Piątek. Piotr, jako kościelny zaczął się martwić, kto tam w Rabczycach dziś ks. proboszczowi będzie pomagał. Bo do mszy wielkopiątkowej służyć, to nie tak łatwa rzecz. Ksiądz łatwo pomyli, a cóż dopiero jakiś świeży niedoświadczony kościelny?

Podróż przez Alzację trwała zaledwie kilka godzin, wjechaliśmy do Niemiec. Od Toulu jedzie kolej doliną rzeki Moselle, dając sposobność podróżnym oglądania przepięknej okolicy. Zaraz mi się przypomniała dolina Orawy między Parnicą i Kralowianami. Rzeka Moselle idzie potężnym strumieniem, robi wrażenie „wielkiej“. Miasta na

prawo albo lewo bardzo wabiące, bo czysto wyglądają na zewnątrz. Góry dolinę tworzące niezbyt wysokie, nieskaliste. Podobały się nam bardzo, bo na bokach ich uśmiechały się do nas cudownie utrzymane winnice. Wielki Piątek był, modlić się trza było cały dzień, aleśmy ciągle oknem wyglądali. Wojtkowi się okolica nawet spodobała i zauważył, żeby wcale nie było źle w tej dolinie kawałek ziemi kupić i uprawiać winogrona. „Szkoda, że ten Niemiec na takiej ładnej ziemi mieszka, wcale na to nie zasługuje za te wielkie zbrodnie na narodach popełnione“ — medytował dalej Wojtek i cieszył się szczerze widząc na dworcach kolejowych amerykańskich żołnierzy. Widać ich było i po wsiach i po miastach. Widok tyłu wojsk robił wrażenie frontu, gdzie się jeszcze biją. W mieście Cochém, gdzie pociąg dosyć długo stał, poznaliśmy się bliżej z Amerykanami, których zaraz paręset przyszło na dworzec, chcąc widzieć gen. Hallera. Nawiązały się bardzo prędko przyjacielskie stosunki. Amerykanie bowiem nie przybyli z próżnymi rękami. Wszystkie kieszenie mieli przepelnione papierosami, czekoladą i gościli nas setnie. Kilku to w workach przyniosło papierosy i rzucali do wagonów przez okna, kiedy się pociąg ruszył. Zdołałem i ja dwie paczki uchwycić. Przydały się mi, bom mógł zrobić w Nowym Targu wielkoduszne podarunki wśród znajomych. Jako już wspominałem jechało z nami dosyć dużo Francuzek — pisarek (wcale nieładnych). Amerykanie się z nimi doskonale bawili. Był wtedy czas śniadania. Francuzkom było milsze towarzystwo Amerykanów, o kawie więc zupełnie zapomniały. Zgłosiły się trochę później, ale major Girault surową dał im naukę, że we wojsku niema zabawy, że mogły przyjść jeść, kiedy był na to czas. I wiecie wcale na tem źle nie wyszły. Bo Amerykanie, dowiedziawszy się o całym zajściu, na gwałt pędzili do swej kantyny i przywlekli dla Francuzek niesłychaną ilość rozmaitych czekolad, ciasteczek i cukierków. „A mogły ta zapościć, bo przecie Wielki Piątek“ —

zauważył Piotr, Gazdowie wogóle nie byli zadowoleni ze święcenia tego wielkiego dnia we wagonach: śpiewano, gwizdano, mało kto pamiętał o Chrystusie. Dzień był ładny. Koło południa można było zauważyć po drogach dużo ludzi, ubranych odświętnie. Wracali z kościoła. Patrzyli na nas obojętnie.

Zbliżaliśmy się pomału ku końcu okupacji francuskiej. Przy Koblencji przejechał pociąg przez rzekę Ren. Myśleliśmy, że za rzeką będą już Niemcy. Pociąg nadjechał do słynnego miasta kąpielowego: Ems. Wszędzie pełno w powietrzu francuskich sztandarów. Więc jeszcze Francuzi. Poza Renem jest bowiem pewna sfera neutralna. Statut rozejmu z listopada pozwala Francuzom na okupację kilkunastu kilometrów. Ems się nam bardzo spodobało. Jakie tam paradne wille! Wnetbyśmy się byli zgłosili na kilkutygodniowy pobyt, gości tam bowiem nie było dużo. Prawie nic, a miejsce jest dla 12.000. Bardzo byli z tego zadowoleni żołnierze francuscy z pułku piechoty 68, bo prawie każdy miał osobny pokój. Zrobili nam też wiece przyjęcie ci Francuzi! Pełno ich było na dworcu, a muzyka grała i grała. W mieście była komenda 17-ej dywizji. Oficerowie z generałem Andrien przybyli na przywitanie i pożegnanie gen. Hallera. Zaprośili nas na przekąskę, gdzie rozumie się nie obeszło się bez przemówień. Na dworcu była kantyna amerykańska. Napchaliśmy sobie jeszcze raz kieszenie czekoladą. Ostatnią stacją w rękach francuskich było miasto Diez, zaś pierwszą już przez Niemców obsadzona Limburg.

„Co też te Prusaki będą z nami robić?“ — pomyślał sobie każdy z nas. „Tyle rewolucji, takie przewroty a ten oto Niemiec nic się od starych nie różni“ — powiedział Wojtek. Człowiek sobie bowiem po opisach gazetarskich położenie w Niemczech tak przedstawiał, że tam wszystko stoi do góry nogami. A tu ci widzimy największy spokój i ład. Żołnierze po staremu ubrani, chodzą i oficerowie, kłania się jeden drugiemu, tylko tu i ówdzie widać jakieś nowe

odznaki na rękawach. Nigdzie najmniejszego śladu jakiegś tam destrukcji, ani kamień z miejsca nieruszony. Miałem wielką chęć do rozmowy z Niemcami, których stało na stacjach w Giessen, Freysa, w Cassel dosyć dużo, ale nie było wolno. Kupiliśmy tylko kilka gazet rozmaitych politycznych kierunków. Dla Niemców to nie było wcale przyjemnością, że Polacy przewożą broń przeciw nim. Byli między nami oficerowie i polscy i francuscy, którzy się z radosnem zadowoleniem przypatrywali tej męce Prusaków mieli bowiem radosne wspomnienia z własnych doświadczeń, jak to Niemcy szanowali prawa ludzkości.

Po odjeździe pociągu widzieliśmy nieraz odgrazanie się pięścią w powietrzu. Robili to przeważnie młodzi ludzie. Nikt im tego bardzo za złe nie brał.

Wojtek z Piotrem nie mogli się napatrzeć na bogate i wspaniale obrobione pola Saksonji. Prawie się wiosna miała ku końcu. Ani słyhu o jakimś tam drewnianym „płużeczku“. Po polach się roi od maszyn, przy których widziano po cztery, ba nawet i ośm koni zaprzęgniętych. Tyle ci Niemcy kradli zewsząd, wywozili z Polski, Ukrainy, Rumunji, Włoch, że człowiek naprawdę gotówby był uwierzyć, że w Niemczech szalony głód. A wątpię, czybyście byli lepiej wypasione konie gdzie znaleźli? Rozmaite „Ersatze“ sprzedawali Austrii, oni się zaś żywili porządnie. Powiadają, że na moich gazdów podróż przez Niemcy zrobiła bardzo dodatnie wrażenie. I gdyby skądinąd nie byli wiedzieli o okrucieństwach przez nich popełnionych, byłiby się nimi aż zanadto zachwycali. Przyjechaliśmy później wieczorem do Cassel. Wojtek wnet wysturzył głowę przez okno. Zaraz przyszedł do niego żołnierz Niemiec. Wojtek się wcale nie odnosił wrogo, nawet go pozdrowił. „Haben sie nicht ein bischen Tabak“? — prosił Niemiec błagalnym głosem. No i wiecie Wojtek mu wnet udzielił, prosząc go tylko aby mu przyniósł zapalnik. Niemiec chodził ze trzy minuty i bardzo nieszczęśliwy wrócił, bo bez zapalnika. Roz-

mowa między nimi byłaby dalej trwała, gdyby nie ja. Ledwie się ukazał i do Wojtka przemówił, Niemiec znikł.

Prusak, to ino Prusak! Pobity ale zawsze arogancki. Gdy pociąg gen. Hallera na stacjach stawał, ośmiu Hallerczyków pełniło służbę. W pełnym rynsztunku, chodzili z karabinami na ramionach przy wagonach. Niemców to bardzo gniewało. I przyszedł raz do komendanta podróży jakiś oficer, protestując bardzo gorzko przeciw bagnetom na karabinach Hallerczyków, prosząc, aby je natychmiast usunęli. Te prośby i groźby spelzły na niczem, ale przy następnej stacji już i niemieccy żołnierze chodzili z bagnetami na karabinach. Z miast, przez któreśmy jechali, większą uwagę zwróciło na siebie Halle. Cały las kominów, same fabryki. We wszystkich pracują. Gazety pisały rozmaite brednie, które się odbywały w Berlinie, w Hamburgu, w Kielu i Monachjum, ale większa część niemieckich robotników inaczej pojmowała budowanie nowej ojczyzny, stanęli sumiennie do pracy. Człowiekiem aż zazdrość szarpała, słyszał bowiem o najbardziej uregulowanych stosunkach we wszystkich fabrykach. „Gałgan ten Niemiec, ale się można od niego dużo nauczyć“, powtarzali gazdowie. Lepiejby i nasi bezrobotni zrobili, gdyby szli za przykładem Niemców z Niemiec, a nie za przykładem naszych buntowników.

Od Halle się podróż zmieniła. Ziemia znacznie gorsza, wcale niezachęcająca do pobytu. Było już popołudniu w Wielką Sobotę. Duchem pędziliśmy do domu. Piotr upiększał ołtarze na Zmartwychwstanie, Wojtek oglądał z wielką uciechą dzieci do kościoła się wybierające, ja też przyglądałem się domowym świątecznym kłopotom w Lipnicy. Okropnie się nam żal zrobiło, że na Zmartwychwstanie nie będziemy u siebie — wolni od Czechów.

Znowu na pochwałę Niemców muszę zaznaczyć, że nas od Francuzów dużo lepiej wieźli. Była szalona różnica w szybkości. Aby zaś wszystko było w porządku, na więk-

szych stacjach urzędowały posterunki alianckie, paru żołnierzy z oficerem. Ci się bardzo pilnie wypytywali, czy nas Niemcy dobrze wiozą, czy wagony w nocy nie były zimne? Pod dozorem tego oficera — Francuza lub Belgijczyka, byli i Amerykanie — kolejarze niemieccy mieli zawsze rewizję przeprowadzać, czy któremu wagonowi coś nie brakuje. Ta wymuszona troska o nas była bardzo ciekawa, bo niektórzy kolejarze robili bardzo głupie miny. Takie posterunki były aż po samą granicę. Już im ta nikt nie zazdrościł! P.... braty!

Jechaliśmy już czwarty dzień. Nic więc dziwnego, że człowiek w nocy, chociaż nie było tak strasznie wygodnie i ciepło, twardo zaspał. Chrapaliśmy sobie bardzo wesoło, aż nam w niedzielę rano przed 3-cią nowe głosy przerwały słodki sen. Muzyka, krzyk, śpiew, hałas! „Co się dzieje?“ — zapytał Wojtek. „Gdzieżmy to?“ — dowiadywał się Piotr. „Nie słyszycie — mówię do nich — co grają? W Polsce w naszej kochanej Polsce!“ „O Boże, a my se tak śpiemy“ — lamentował Wojtek. „Jeszcze Polska nie zginęła“ — grała ciągle orkiestra dzielnych Poznańczyków na pierwszej stacji polskiej w Kąkolewie. Dworzec wspaniale udekorowany sztandarami naszymi i koalicyjnymi, ledwie widać kawałek dachu. „Pietrze, Pieterku, złożcie ten mundur, a ubierzmy się po swojemu“ — wołał Wojtek. Muszę bowiem zdradzić, że obaj gazdowie w czasie przejazdu przez Niemcy byli przebrani na Hallerczyków. Piotr piastował godność porucznika, Wojtek zaś wesołego szeregowca, Konfederatki im bardzo świeciły. Pozrzucali oni bardzo prędko wszelkie znaki żołnierskie, ubrali się w swoje czapki baranie i kożuchy i jazda na dworzec cieszyć się. Pociąg niestety nie długo bawił na tej przemiłej stacji. To przebudzenie zrobiło na nas gwałtowne wrażenie. Pociąg szedł dalej pomijając milczeniem mniejsze stacje, rozumie się wszystkie ozdobione.

O siódmej godzinie rano w niedzielę wielkanocną

przyjechaliśmy do Krotoszy na. Całe miasto na dworcu, nie wykluczając starszuchów i małych dzieci. Ludzi opanował jakiś szal radości. Generał Haller na początku podróży wyraził życzenie, abym na Wielkanoc odprawił nabożeństwo, a o święcone miał się kucharz starać. Poznańscy przekreślili wszystkie nasze plany. W Krotoszy czekały nas całe kosze święconego. Było nas przecie paruset, a święconego nietylko nie zabrakło, ale nam jeszcze na drogę zapakowali. Francuzi nie mogli się napatrzeć. Aż mi ich żal było, bo panie ciągle przychodziły do nich z przekąskami i chcąc nie chcąc musieli jeść. Pociąg stał w Krotoszy dosyć długo — można było i po dwie kawy lub herbaty wypić. Ja byłem w wielkim kłopotcie. Wszystko jadło święcone, ja też miałem wielką ochotę coś przekąsić, ale się ciągle spodziewałem, że gen. Haller każe nabożeństwo odprawić. Miałem atoli dobrych towarzyszy podróży. Piotr i Wojtek widząc, jak mi na te rozmaite figle ślinka płynie, wzięli od pań i dla mnie sporo kawałków, abym sobie mógł po nabożeństwie zjeść. Czekałem więc spokojnie, co będzie w Ostrowie. Bo nam już wczas rano zdradzili, że urzędowe przyjęcie Hallera ze strony Poznańskiego będzie w Ostrowie, i że tam będzie nabożeństwo. Tak było. Tu oczekiwała przybycia Hallera Rada Naczelna z Poznania, witając go wszelkimi słowami uznania, nie zominając wspomnieć o wartości dzielnicy poznańskiej. Po przywitaniu poszliśmy wszyscy przed dworzec, gdzie cichą mszę odprawił zacny ks. patron Adamski. Krótkie, węzłowe kazanie o zmartwychwstającej Polsce zrobiło na wszystkich doniosłe wrażenie. Ledwie się nabożeństwo zakończyło, przyszedł do mnie Wojtek i szeptał mi: „A niechże idom coś przegryść, bo chyba już nie bedom mse świętej odprawić“. — Już naprawdę nie było czasu, więc zjadłem i ja święcone smakołyki. Rozmawialiśmy jeszcze kilkanaście minut z drogimi Poznańczykami aż pociąg ruszył. Była to odtąd tryumfalna podróż gen. Hallera. Po wszyst-

kich stacyach szeregi oczekujących przyjazdu Hallerczyków. Był dzień bardzo ładny, wiosenny. Świeżo porane, zasiane i zasadzone zagony polskie kąpały się w promieniach wiosennego słońca. Wesolo nam miały przed oczami wioski i miasteczka polskie. A dojechał pociąg na dworzec, oko się nie mogło nacieszyć przepięknymi strojami naszych kobiet i pań. Bo przecież wielkie święto było! Sama Wielkanoc! A gen. Haller też wart tego, aby się porządnie ubrać! Żołnierze, którzy pięć lat tęsknili za tą chwilą, ochotnicy u Hallera z poza morza, którzy 15—20 lat od swoich oddaleni byli, śmiali się z uciechy, nie mogąc się zdobyć na słowa z wielkiej radości. Francuzi z podziwem oglądali nasze stroje. Wprost zdumieni byli, gdy w Sieradzu francuskie powitanie usłyszeli. W drodze przez Polskę parowóz naszego pociągu jakoś się popisał. Jechaliśmy porządnie. Wśród niesłychanego entuzjazmu dojechalibyśmy do Łodzi o piątej po południu. Bawiliśmy w mieście cztery godziny. Było nabożeństwo dziękczynne, a potem uczta w kasynie oficerskim, gdzie Piotr Borowy wygłosił takie dowcipne przemówienie o złotych zębach polityków polskich, że Haller na gwałt musiał tłumaczyć francuskim generałom, którzy potem Piotra i Wojtka udusić chcieli.

Na drugi dzień, w poniedziałek Wielkanocny byliśmy o 10-ej godzinie we Warszawie. Opowiedzieliśmy na publicznem zgromadzeniu, jakie kroki poczyniliśmy w Paryżu w obronie ziem Spisza, Orawy i Czacy. Mamy spokojne sumienie, bośmy wszędzie pukali i wszystko poruszyli, aby swojego polskiego imienia nie sponiewierać, aby 150 tysięcy polskich górali uratować od śmierci narodowej i religijnej w państwie Czeskosłowackiem. Oba bowiem życia, i narodowe i religijne — mamy jedynie w Polsce zabezpieczone!

